

KAMENNA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: **Humanistka contra plures** • **Stop! Niebezpieczny zakręt!** • **Teatr wierny słusznym założeniom** • **Utwory Kolegów - gości** • **Sporu o Czechowicza ciąg dalszy** • **Profile młodych** • **I in.**

WELLS O WI ZABRAKŁO WYOBRAŹNI...

MAREK A. JAWORSKI

LEŻY przede mną „Rosja we mgle” H. G. Wells’a. Czytam: „Czy można sobie wyobrazić bardziej zuchwały plan, który ma być realizowany w tym olbrzymim równinnym, pokrytym lasami kraju, zaludnionym chłopami nie umiejącymi ani pisać, ani czytać, pozbawionym źródeł energii wodnej, nie rozporządzającym ludźmi o wykształceniu technicznym, w którym handel i przemysł zamary? Owszem, podobne plany elektryfikacji są w trakcie realizacji w Holandii. W Anglii zostały dopiero poddane pod dyskusję i można sobie bez trudu wyobrazić, że w tych gęsto zaludnionych krajach, o wysoko rozwiniętym przemyśle, elektryfikacja może dać znakomite wyniki, może okazać się przedsięwzięciem rentownym i niezmiernie pożytecznym. Ale myśleć o urzeczywistnieniu takich projektów w Rosji? Doprawdy, wymaga to nie byle jakiego wysiłku rozigranej wyobraźni. Jeżeli chodzi o mnie, żadną miarą nie potrafię wyobrazić sobie tej Rosji przyszłości. Ale ten niezwykły, niewielkiego wzrostu człowiek z Kremla posiada wielki dar wyobraźni. On już widzi, jak zamiast dzisiejszych zużytych pociągów zacząć kursować nowe, elektryczne, widzi, jak wstąpi nowo zbudowanych szos przetrną cały kraj, jak na gruzach przeszłości rozkwita szczęśliwie uprzemysłowione państwo komunistyczne...”

Znakomitemu pisarzowi tym razem zabrakło odrobiny fantazji. I trudno mi się nawet dziwić. Rosja, zdewastowana wojną, światową i domową, Rosja — do niedawna niemal półkolonia, tucząca siły międzynarodowego kapitału, Rosja licytująca i lampy naftowej — ta Rosja roku 1920 nie mogła budzić entuzjazmu u Wellsa, chociaż umiał on zdobyć się na własny punkt widzenia, inny od burżuazyjnych teoretyków i, pozał się Boże, polityków.

Czytam teraz na nowo „Rosję we mgle”. Czytam, zapoznawszy się uprzednio z dwoma referatami wygłoszonymi przez I sekretarza KC KPZR, Nikitę Chruszczowa, na XXII Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Jeszcze pół wieku nie minęło od chwili, gdy Lenin i kierowana przez niego partia zburzyli gliniane imperium carów. Ale w Kraju Rad historia przesiadła się już z odrzułców na statki międzyplanetarne!

W przeddzień wielkiego zjazdu budowniczych komunizmu paryski „Combat” pisał:

„Chruszczow przemawiać będzie wobec swego audytorium — do audytorium światowego. Przedstawił on już swojemu audytorium program o bardzo długofalowym zasięgu. Za 20 lat ZSRR pozna złoty wiek komunizmu

i fakt ten przeniknie cały świat. Imperializm i kapitalizm znajdują się wówczas na cmentarzysku starych księżyców wszechświata. Zanim to nastąpi, trwa epoka żelaza, bardziej łagodna, elastyczna, epoka stali... Na wewnątrz — bogatsze zbiorcy, później sześciogodzinny dzień pracy... Nie pozwalajmy sobie na ironiczne uwagi wobec tych obietnic — przez porównywanie. Chcąc ocenić obecny komfort radziecki, nie można zapominać o wczorajszej nędzy”.

Burżuazyjny „Combat” z przyzwyczajenia jest nieco uszczypliwy, ale nie lekceważy osiągnięć radzieckich. No bo i trudno lekceważyć realne fakty, realne liczby.

Przypomnijmy nie tak odległy rok 1928. Jeszcze wówczas ZSRR produkował mniej energii elektrycznej, niż Szwajcaria, kraj o 41 288 kilometrach kwadratowych. W dziesięć lat później Związek Radziecki zajął już pierwsze miejsce w Europie, ustępując pod względem produkcji energii elektrycznej tylko Stanom Zjednoczonym. W bieżącym roku produkcja energii elektrycznej wyniesie 327 mld kWh i będzie o 92 proc. wyższa od produkcji w 1955 roku.

Procenty, procenty... Tutaj i leżby mogły stanowić pasjonującą lekturę. Tylko od 1955 do 1961 roku produkcja surowki skacze o 53 proc., stali o 57 proc., ropy naftowej o 134 proc., gazu o 475 proc., przemysłu chemicznego o 105 proc., a z tzw. dóbr konsumpcyjnych — mięsa o 78 proc., cukru o 100 proc., odzieży i bielizny o 52 proc., odbiorników radiowych i telewizorów o 57 proc., lodówek domowych o 480 proc., mebli o 161 proc....

W tym świetle nikt z rozsądnie myślących ludzi nie może Programu KPZR, zaaprobowanego przez XXII Zjazd KPZR, nazywać utopią.

Nie sposób tu streścić bogactwa myśli zawartego w tym wielkim manifestie. Ma rację hinduski dziennik „Times of India” stwierdzając:

„Od czasu Manifestu Komunistycznego nie było bardziej porównującego komunistycznego dokumentu. Realność programu również nie ulega wątpliwości”.

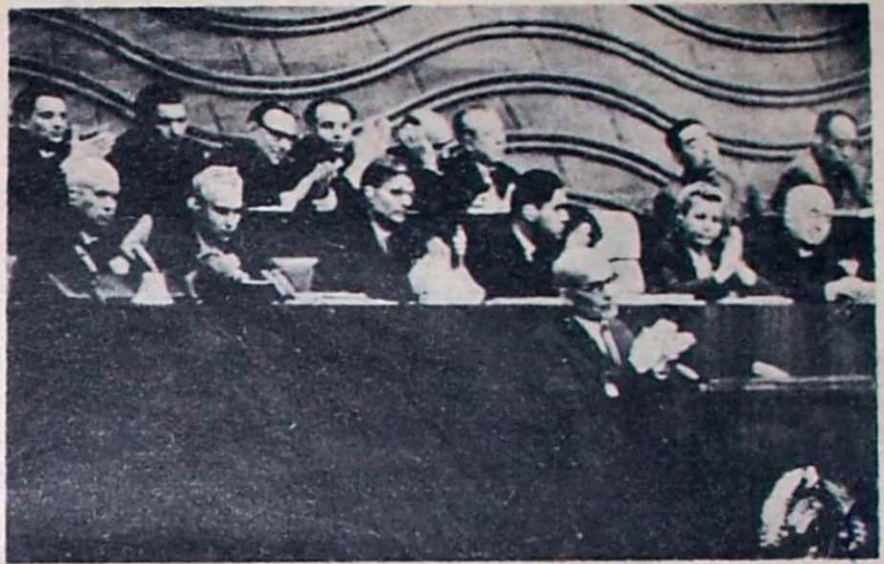
Bezpłatna nauka, mieszkanie, obiad, w miejscu pracy, przejazdy w mieście, bezpłatna woda, gaz, światło. Bezpłatne leczenie, pełne utrzymanie na starość — to w telegraficznym skrócie tezy Programu, którego podstawowym celem jest CZŁOWIEK. Jego życie stanie się bogatsze, spokojniejsze. Powszechne wykształcenie średnie — to już nie odległa przyszłość. Dodajmy: w roku szkolnym 1960/1961 we wszystkich typach szkół ZSRR uczyło się prawie 42 mln uczniów i studentów. Kształcił się więc prawie co piąty obywatel Związku Radzieckiego!

Program KPZR zapowiada dalsze rozszerzanie demokracji socjalistycznej, systematyczne odnawianie składu kierowniczych organów partyjnych.

„Nie jest tajemnicą — mówił N. S. Chruszczow na XXII Zjeździe KPZR — że są u nas towarzysze, którzy w swoim czasie zostali należycie ocenieni i wybrani na stanowiska kierownicze i zajmują te stanowiska w ciągu całych dziesiątków lat. Przez ten czas niektórzy z nich utracili zdolność do twórczej działalności, zabrakło im wycucia tego, co nowe, stali się hamulcem. Niestusne byłoby pozosta-

(Dokończenie na str. 2)

WŁADYSŁAW GOMUŁKA NA TRYBUNIE XXII ZJAZDU KPZR



GOJ WSPOMINAM TAMTE DNI...

SARA KORNBERG-PRZYTYK

SA wspomnienia, do których wraca się niechętnie, bo po co przeżywać jeszcze raz to, co szczęściu ni radości nie przyniosło. Są wspomnienia, które gestem samobrony odpędzamy od siebie, choć one jak cień ponury za nami się wloką. Czujesz, że jeśli chcesz żyć, jeśli chcesz reagować normalnie na otaczający cię codzienny świat, to musisz zapomnieć, to musi w twojej świadomości zblaknąć obraz tamtych tragicznych dni.

Pamiętam taką wizytę kierownika Katedry Psychologii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w 1945 r. kilka tygodni po moim powrocie z Oświęcimia i Ravensbrück. „Proszę Pani, czy nie zgodziłaby się Pani poddać badaniom psychologicznym, przy pomocy ułożonych przeze mnie testów. Chciałbym na Pani przykładzie sprawdzić, czy wysunięta przeze mnie teza jest słuszna. Zdaje mi się bowiem, że ludzie, którzy przeszli Oświęcim, nie można traktować jako ludzi w pełni normalnych. Z punktu widzenia naukowego niemożliwe jest, by takie przeżycia nie zostawiły w umyśle ludzkim trwałego śladu”.

Nie wiem, jaki był wynik tych badań. Sama czuję, że gdzieś tam w mojej podświadomości, gdyby chciało to umiejscowić w tyle głowy, żyje do dziś dnia groza czerwonego, gorejącego nieba oświęcimskiego. Ale tylko w głębokiej podświadomości, bo nawet w snach nie pozwalam tym obrazom dojść do głosu.

ALE są i inne wspomnienia z tego właśnie Oświęcimia. Zdarzenia, które pomogły mi wtedy przetrwać, a i dziś napawają optymizmem i wiarą.

Jedno z takich wspomnień to 27 rocznica Rewolucji Październikowej. Mały pokój w głębi ambulatorium obozowego w Oświęcimiu, 7 listopada 1944 r. Zarówka w pokoju przyciem-

niona, przed domem wystawione czujki, które pilnują, by nikt niepożądany nie wszedł. Niedaleko widać jasno oświetlony barak esesmański, słychać ich śpiew i pijackie okrzyki. Bo i kasyno mieściło się w tym baraku. Dobrze, niech hałasują, nam to na rękę!

W samym pokoiku tak tłoczno, że ledwo możemy się pomieścić. Słuchamy referatu o znaczeniu Rewolucji Październikowej, o pierwszej w historii rewolucji, która nie zamieniała jednej formy ucisku na drugą, która znosiła w ogóle ucisk człowieka przez człowieka.

I teraz ta rewolucja przyniesie nam, niewolnikom XX wieku, wolność, przywróci zdeptaną przez hitlerizm godność ludzką.

Wszyscy wstajemy i śpiewamy razem Międzynarodówkę. Pamiętam Międzynarodówkę śpiewaną na ulicach miast polskich w nielegalnych pochodach pierwszomajowych. Pamiętam Międzynarodówkę śpiewaną przez Komunię, więźniów politycznych przerywaną okrzykami „Towarzysze, biją”. Ale właśnie tamta, listopadowa, śpiewana w różnych językach, lecz zgodnie płynąca jednym rytmem, pozostała mi w pamięci na zawsze, do końca dni moich.

„Bój to będzie ostatni”. I widzę masywną postać lekarki-chirurga, kapitanu Armii Czerwonej — Lubow. Ile w tej kobiecie było odwagi i wiary w zwycięstwo.

Widzę smukłą, jasnowłosą Vaillant-Coutourier — członka Francuskiej Partii Komunistycznej, która nigdy głowy nie schylała.

Widzę tragiczną postać Orli Reichert, komunistki niemieckiej, która w obozach koncentracyjnych była od 1933 r. Cieszyła się razem z nami ze zwycięstw Armii Czerwonej i oplaki-

(Dokończenie na str. 2)

WELLSOWI ZABRAKŁO WYOBRAŹNI...

(Dokończenie ze str. 1)

wianie takich ludzi nadal na stanowiskach tylko dlatego, że kiedyś zostali wybrani. Czy mamy zamykać się w kręgu jednych i tych samych osób raz wybranych do organów kierowniczych? Nie taki jest nasz kurs... Zadanie polega na tym, żeby włączyć do kierowniczej pracy partyjnej większą liczbę młodych towarzyszy, którzy wyrosli w toku pracy... Z trybuny Zjazdu oznajmiamy: Partia powinna podejmować wszelkie kroki niezbędne do tego, by na zawsze zagrozić drogę kulturowi jednostki".

AJAKIE stanowisko zajmuje Program w sprawie, która dla każdego z nas nie jest i nie może być obojętna — w sprawie wojny i pokoju?

Wojny, stwierdza Program, można uniknąć — pokojowe współistnienie jest obiektywną koniecznością rozwoju społeczeństwa ludzkiego.

Współczesna wojna nie m'ęści się w granicach wyobraźni. Nuklearny fizyk amerykański, Ralph Lapp, członek tzw. grupy „Manhattan Project”, która opracowała pierwszą bombę nuklearną podczas drugiej wojny światowej, powiedział w wywiadzie radiowym, że ewentualne atomowe starcie między USA a ZSRR „zakończyłoby się w ciągu jednej a najwyżej dwóch nocy” — „obie strony zostałyby zdezorientowane”. Ale mimo takiego przekonania są w Stanach Zjednoczonych kółka holdujące dulusowskiemu zasadzie balansowania na krawędzi wojny. Kółka te znajdują gorących zwolenników w Niemieckiej Republice Fede-

ralnej, której przywódcy byłiby gotowi zaprzedać się diabłu, aby tylko otrzymać wymarzoną broń termojądrową.

Narody Związku Radzieckiego, obok narodu polskiego, mają największe prawo przeciwstawić się takiej zabójczej polityce.

Niedawno bawił w Moskwie b. premier francuski Paul Reynaud. Pisał on później na łamach „Le Figaro”:

„Znajdujemy się tu w innym świecie. Nie zapomnieliśmy o 25 milionach zabitych oraz o cierpieniach mieszkańców Leningradu, którzy w czasie zimowych miesięcy obłączenia trwałego 960 dni, pozbawieni ognia i niemal zupełnie chleba, osiłąli tak dalece, że nie byli już w stanie wynosić zwłok swoich zmarłych krewnych. Wyrzucali je rankiem przez okno. Ulicą przejeżdżał samochód ciężarowy zbierający zwłoki. I nie skapitutowali... Nie chcą oni, aby się taka sytuacja powtórzyła”.

Nie powtórzy się wrzesień 1939 roku, nie powtórzy się i czerwiec 1941 roku. Spójrzmy na globus — jak zmienił się świat w ciągu ćwierćwiecza! ZSRR nie jest już jedynym krajem socjalistycznym, zbudziła się Azja i Afryka, rewolucja kubańska promieniuje na kraje Ameryki Łacińskiej. Poczujmy się, chociażby przykładem Brazylii, gdzie reakcji n'e udało się przestawić zwrotnicy. Każdy dzień, miesiąc, rok pomnaża siły pokoju, siły postępu.

Znane propozycje ZSRR w sprawie Berlina i zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami mają na celu ustabilizowanie sytuacji w Europie i położenie kresu pozostałościom drugiej

wojny światowej — prawda ta coraz bardziej zaczyna docierać i do polityków zachodnich, zwłaszcza w USA i w Wielkiej Brytanii. Tylko Bonn stara się uparcie przeciwdziałać jakiegokolwiek porozumieniu między Wschodem i Zachodem. Jest to walka o dzień wczorajszy, próba zatrzymania historii nawet kosztem wciągnięcia świata w termojądrową katastrofę.

Nie wierząc w życie pozagrobowe, wierząc w zdrowy rozsądek. Miły zachodniomiejce musi przekreślić rzeczywistość. Nie można na dłuższą metę być politykiem opierającym swoje stanowisko na fikcjach.

Zdaniem Adenauera, istnieje nadal Rzesza Niemiecka. NRF ma być właśnie reprezentantem tej Rzeszy i to w granicach z 1937 roku. Inaczej mówiąc, jeśli się zakłada tego rodzaju fikcję, automatycznie należy przyjąć, że nie ma NRD i nie ma granicy na Odrze i Nysie!

Współczesny polityk musi być realistą. Nam się może nie podobać i nie podoba NRF — państwo pielęgnujące najbardziej odwetowe i szowinistyczne nastroje. Ale nie chowamy głowy w piasek i nie mówimy, że NRF nie istnieje, nie jesteśmy bowiem strusiami. Wiemy, że na mapie Europy są dwa państwa niemieckie, że zjednoczenie tych państw może nastąpić tylko w drodze dwustronnych rozmów między przywódcami NRF i NRD. I lepiej będzie nawet dla samej sprawy zjednoczenia Niemiec, jeśli Zachód uzna ten realny fakt istnienia zarówno Bonn jak i Berlina — stolicy NRD.

Nie możemy również na dłuższą metę tolerować nienormalnej sytuacji w Berlinie zachodnim. Jeśli Zachód odrzuca propozycje w sprawie przekształcenia Berlina zachodniego w wolne zdemilitaryzowane miasto, mówimy: wysuńcie w tej sprawie swoje sugestie!

W samej NRF nie brak ludzi, którzy apelują do zdrowego rozsądku:

„Powinniśmy chyba jednak podjąć poważne próby, aby zapobiec samobójstwu ludzkości. Nie podejmujemy ich, jak długo powtarzamy tylko... nierealne żądania, bez uwzięcia pod uwagę rzeczywistej sytuacji, do której należy także sytuacja przeciwnika i zła przeszłość” (prof. Golo Mann, wypowiedź w zachodniomiejckim piśmie „Die Zeit”).

Dialog Wschód—Zachód w sprawie Niemiec i Berlina będzie z pewnością kontynuowany. Zbyt straszna mogłaby być alternatywa zerwania rozpoczętych rozmów.

XXII Zjazd KPZR niemal zbliżył się z wielkim świętem — 44 rocznicą Rewolucji Październikowej. Dziś mel-dunki o zwycięstwach na różnych frontach gospodarki narodowej przyjmowane są w ZSRR z takim uczuciem, jak w pierwszych latach władzy radzieckiej przyjmowano komunikaty o orężnych sukcesach podczas walk z Denikinem czy Wranglem.

Nikogo nie zdziwi, jeśli Związek Radziecki uczci rocznicę Rewolucji nowym lotem w Kosmos. Największym uczczeniem rocznicy jest jednak nowy Program KPZR, Program, którego nie byłoby i być nie mogło, gdyby strzały „Aurory” nie rozsypany w gruzy twierdzy carów i Kiereńskiego.

Marek A. Jaworski

ALEKSANDER HAWRYLUK

Bereza

Nie inwalida stary z rdzawym samopalem, lecz prawdziwy karabin strzeże naszych ścian i drut kolczasty oplótł nas ze wszystkich stron, a policyjny wzrok jak żądło jadem pała.

To Bastylia techniczne wśród widm feudalnych wywołanych z dna wieków nowoczesnym strojem — Bastylia tylko tam jest, gdzie próchna niepokojem tworzy ją ten, dla kogo dróg innych zabrakło. Nowa Bastylia, swych murów i blanków nie uchronisz od nas w pustkowiach wśród błot*), przyjdzie wkrótce zbudzony gniewny lud, by słać wielki dzień, co ciebie złamie.

Z twoich podziemnych lochów, co tylko słabych zęgną (słabi niech giną więc z twarzy zdzierając fałsz), my wyjdziemy w dzień nowy i dla budowniczych na pewno będziemy jako stal pod nowy, wielki gmach. 1937 r.

*) Mowa o „powstaniu” w Domaczewie.

Plakaty

Rwą się słowa, snują, płyną pieśni-plakaty, ciskam je przez kraty nad strzechy chłopskich chat, przyjaciele pochwycają je dysząc młodymi piersiami i pieśń zawisnie jak plakat nad nami.

Któż plakat ten wyrwie zza kart i zdejmie, by poszła stąd w świat.

Gdy stanie się ich własnością, któż ludziom odbierze pieśń — z sercami na śmierć zrośniętą.

Nie ważne kto pierwszy ją wzniosł, lecz ważne dlaczego i po co, przyjaciel już w grobie, a pieśń właśnie tobie jak sztandar powiewa nad nocą.

Śmierci, co na warcie obok łoża mego stoł, dawno już zabrakło cierpliwości, tak, dobrze więc, Kostucho, czegoż to się boisz, wszak widzisz, że kończę swą pieśń.

Ciemno już, o ciemno, i w oczach się męci, nie chce czekać śmierci, dusi, dławii mnie, unoszą się pieśni nad wioskami drzące wisząc jak plakaty widziane we śnie. 1933 r.

Przełożyła Helena Platta

O POECIE

W BIEŻĄCYM roku mija dwadzieścia lat od śmierci Hawryluka. Talentowany ukraińsko-radziecki poeta i prozaik Aleksander Hawryluk urodził się 23 kwietnia 1911 r. w ubogiej, wiejskiej rodzinie we wsi Zabłocie, powiatu Biała Podlaska. Dziećmiństwo spędził w bardzo ciężkich warunkach, w biedzie i nędzy.

Wychowany przez ojca w nienawiści do ucisku i niesprawiedliwości społecznej, jako 15-16-letni wyrostek staje się zdecydowanym przywódcą powstania młodzieży ze swojej wsi oraz wsi okolicznych, gdzie zamieszkiwało wielu jego ziomków.

Przynależność do tajnej organizacji młodzieżowej pozwoliła mu na zapoznanie się z literaturą komunistyczną, roz-

powszechnianą potajemnie poza granicami ZSRR. Z czasem kieruje działalnością ośrodka demokratycznego młodzieży ukraińskiej. Staje się zagorzałym bojownikiem i propagatorem idei bolszewickiej, skutkiem czego będzie aresztowany.

Pierwszy swój wiersz Hawryluk napisał w więzieniu, w maju 1922 roku. Była to rewolucyjna pieśń, pt. „Wspomnienia więźnia politycznego”. Utwór ten zaczyna się od słów:

Głowo ty moja nielegalna skonfiskujecie ciebie prokurator...

Pobyt swój w więzieniu odmalował Hawryluk w opowiadaniu pt. „Zegnajcie”, wydrukowanym w lwowskim rewolucyjnym piśmie „Okna”. W tym czasie Hawryluk nawiązuje kontakt z działalnością rewolucjonistów na Polesiu, a także z działaczkami ruchu rewolucyjnego w Łodzi i w Krakowie. Po zwolnieniu z więzienia staje się jednym z inspiratorów tak zwanego „powstania” chłopskiego w połeskim miasteczku Domaczów, po upadku którego wyjeżdża do Warszawy i tam styka się z pisarzami polskimi: Wandą Wasilewską, Władysławem Broniewskim, Adamem Ważykiem, Haliną Gorąką.

W 1925 r. przenosi się do Lwowa, gdzie pracuje w redakcji jednej z postępowych gazet, a także przy organizowaniu antyfaszystowskiego Kongresu Obrony Kultury z ramienia delegatury Centralnego Komitetu Rewolucyjnej Partii Ukrainy.

Wkrótce potem Hawryluk został aresztowany i osadzony w Berezie Kartuskiej (1927). Głośna stała się kampania prasowa rewolucyjnych pisarzy polskich w obronie Hawryluka. Protest żądający zwolnienia go podpisał tacy pisarze, jak Władysław Broniewski, Wanda Wasilewska i Andrzej Struś, jako przewodniczący Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Po wybuchu wojny w 1939 r. znajduje się Hawryluk we Lwowie, gdzie spotyka dawnych przyjaciół — Ukrainców, Tudora i Galana, oraz Polaków: Ważyka, Wasilewską, Górską, Pasternaka, Putramenta, Boya-Zelińskiego. W czerwcu 1941 r. ginie od pocisku w czasie bombardowania Lwowa przez hitlerowców.

Hawryluk ma na swym koncie, oprócz powieści „Bereza” i „Zegnajcie”, „Poematu o pętl”, opowiadania „W oczach dziecka” i „Naiwny Murzyn”, wiele utworów poetyckich. Jak: „Październik we Lwowie”, „Mauzoleum”, poemat „Lwów”, poemat „Besarabia”, szereg wierszy, jak „Bereza”, „Plakaty” i in., a także utwory publicystyczne, jak np. „Wielki ukraiński poeta”, (O Szewczenko), „Panowie i panieta nad „Kobziarzem”, „Uczmy się rozumieć i przejmować się poezją” oraz wiele innych.

H. P.

GDY WSPOMINAM TAMTE DNI...

(Dokończenie ze str. 1)

wala długo w nocy zniszczone miasta niemieckie. Widzę Kwietę Miedzdrucką, Czeskę, dziewczynę bez zółci, dobrą aż do bólu, którą trudno mi było wyobrazić sobie z granatem i pistoletem w ręku. Spiewaliśmy tę pieśń walki, międzynarodowej solidarności ludzi uciskanych, — Polki, Węgierki, Greczynki, Włoszki, Austriaczki, nawet z malutkiego Luksemburga była towarzyszką.

Wbrew okropnościom Oświęcimia, obwre bestialstwo ludzi przecieć, nie zwierzęt, wierzyliśmy w wielkość człowieka, w to, że słowo to „brzmi dumnie”, w zwycięstwo rewolucji.

W 44 rocznicę Rewolucji Październikowej pozdrawiam Was z kraju, w którym Międzynarodówka stała się już hymnem zwycięstwa.

Sara Nomberg-Przytyk

W ROKU 1959 Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza wydała I tom Biblioteki społeczno-politycznej, pt. „KPP w walce o jednolity front klasy robotniczej i front ludowy na Lubelszczyźnie w latach 1934—1938”, opracowany przez Jana Naumiuka. Autor w przystępny sposób przedstawił chronologiczną działalność KPP, kierowanie masami robotniczymi, chłopskimi w różnych akcjach politycznych i ekonomicznych.

M. Waleczko i Z. Mitura z okazji XV rocznicy powstania PKWN oddali do rąk czytelników „Zarys rozwoju gospodarczego województwa lubelskiego w latach 1941—1959”. Praca jest tym ciekawsza, że proces rozwoju naszego województwa jest omawiany w powiązaniu z rozwojem gospodarczym całego kraju.

Po tym II tomie Biblioteki ukazał się w roku 1960 III tom, pt. „Kartki z dziejów powiatu lubelskiego”. W kilkunastu rozdziałach autor, Władysław Myk, przedstawił dzieje powiatu od najdawniejszych czasów poprzez okres stosunków feudalnych, odrodzenia i reformacji, w czasach Królestwa Kongresowego, w sanacyjnej Polsce, w czasie okupacji hitlerowskiej oraz w okresie piętnastoletniej władzy ludowej. Zwrócił szczególną uwagę na walkę uciskanych mas z wyższościami, na sily postępowe kierowane przez marksistowskie partie, które wygrały walkę o władzę ludową.

Tom IV, pt. „Chłopi lubelscy w 1965 roku”, opracował Albin Koprukowniak. Autor przedstawił sytuację wsi lubelskiej przed

Już 8 tomów

rewolucją, następnie wystąpienia chłopskie w roku 1905.

Z okazji 25 rocznicy wydarzeń na Zamojszczyźnie Wydawnictwo Lubelskie wydało VI tom, pt. „Wystąpienia chłopskie w Zamojszczyźnie w roku 1936”. Autor Eugeniusz Ciurus po omówieniu sytuacji ekonomicznej i politycznej, cennej natury gospodarczej i politycznej, odzwierzylił dokładnie akcję pacyfikacyjną wsi powiatu zamojskiego.

Dzieje KPP na Lubelszczyźnie otrzymały dalsze dwa tomy. Jan Naumiuk w V tomie, pt. „Z dziejów KPP na Lubelszczyźnie”, zajął się tym zagadnieniem w latach 1929—1933, VII zaś tom o identycznym tytule, opracowany przez Stanisława Krzykałę, obejmuje lata 1918—1923. Autorzy przedstawiają działalność KPP wykorzystali materiały archiwalne, cenne relacje ustne oraz szereg opracowań. Wiernie odzwierzyli postawę rewolucyjną komunistów.

W VIII tomie, pt. „Walka chłopów lubelskich po reformie uwłaszczeniowej”, Zofia Mazurek przedstawiła położenie chłopów po użyciu z 1864 r. Reforma uwłaszczeniowa nie przyniosła chłopom polepszenia warunków, stąd też walka klasowa na wsi lubel-

skiej nie ustaje. Chłopi zrozumieli, że ich sprawę można rozwiązać jedynie drogą rewolucyjnego wystąpienia, która rzeczywistość znieśli własność obszarczą i ziemię przekazać w ich ręce.

Zainteresowany tym wydawnictwem, zgodnie z zapowiedzią wydawcy (w I tomie), ciągle czekają na „tomy poświęcone...” zarówno popularyzowaniu działalności Partii na Lubelszczyźnie w okresie międzywojennym, okupacji hitlerowskiej i po Wyzwoleniu, jak i rozprawom gospodarczym, dotyczącym naszego regionu, oraz teoretycznym rozważaniami na tematy ideologii i filozofii marksistowskiej”. Z dotychczas wydanych tomów wszystkie są poświęcone tematyce historycznej. Niewątpliwie dorobek tego wydawnictwa jest duży, ale rzucza się w oczy pewna przypadkowość doboru tytułów i brak systematyczności w opracowaniu zagadnień, np. działalności KPP. Można przypuszczać, że brak opracowania działalności KPP w latach 1924—1928 w przyszłości będzie uzupełniony. Bo przecież Biblioteka społeczno-polityczna ma stanowić „dużą pomoc dla aktywów w poznaniu i przyswojeniu sobie historycznego dorobku organizacji partyjnych działających na Lubelszczyźnie oraz osiągnięć Władzy Ludowej”. Ale tu chcę zapytać o co innego naszych naukowców. Gdzie są i kiedy ukażą się opracowania teoretyczne na tematy ideol-

(Dokończenie na str. 9)

Z Prof. Dr Adamem Paszewskim (UMCS), Dr Mieczysławem Subotowiczem (UMCS) i Doc. Dr Krzysztofem Tatariewiczem (UMCS) rozmawiała Anna Tatariewicz (ZLP)

HUMANISTKA CONTRA PLURES

Humanistka: W obecnych czasach jesteśmy świadkami znakomych osiągnięć nauk ścisłych i techniki. Ludzie, a zwłaszcza przedstawiciele młodszych pokoleń, są zafascynowani tymi osiągnięciami. Humanistyka ze swoją mniej lub bardziej tradycyjną problematyką schodzi w cień, traci wiele z siły atrakcyjnej. Zarysowują się coraz wyraźniejsze różnice, wręcz antagonizmy między postawą technicystyczną a humanistyczną. Permanentnie toczą się dyskusje na ten temat. Nieraz słyszy się opinie, że przedstawiciele nauk ścisłych po prostu lekceważą sobie humanistykę i humanistów. Używam określenia „humanista” w najszerszym znaczeniu tego słowa, obejmując nim zarówno działalność naukową, jak artystyczną. — Więc jak to jest z tym „lekceważeniem”?

Fizyk: Wydaje mi się, że to nie my lekceważymy humanistów, tylko sami humaniści cierpią na kompleks mniejszości...

Biolog: Rozwój humanistyki jako nauki nie nadąża za rozwojem dyscyplin ścisłych z powodu braku metody...

Matematyk: Mówmy szczerze. Pierwszym moim odruchem jest nie traktować poważnie ludzi, którzy nie potrafią zreperować tak prostego urządzenia, jak dzwonek elektryczny. A to jest czas ogromnej większości humanistów, nie mówiąc już o humanistkach... Oczywiście, ten odruch nie jest uzasadniony, taki drobiazg nie może przecież powodować dyskwalifikowania kogośkolwiek. Ale to nie zmienia faktu, że humaniści po prostu nie rozumieją otaczającego ich świata i stąd ich kompleksy, a także większość ich problemów, czy raczej pseudoproblemów.

Humanistka: W tym jest trochę racji. Niewątpliwie specjalizacja poszczególnych dziedzin myśli ludzkiej utrudnia coraz bardziej znalezienie wspólnego języka między przedstawicielami nauk ścisłych, a humanistami. Dziś nie ma mowy o uniwersalnym wykształceniu, typowym dla epoki Odrodzenia, a do pewnego stopnia możliwym jeszcze w wieku XIX. Ale trudno się zgodzić, że to jest jakiś proces jednostronny, że rozwijają się tylko nauki ścisłe, a humanistyka przeżywa swe tradycyjne zdobycze. Przeczy temu choćby zarzut elitaryzmu, powszechnie stawiany współczesnej literaturze, czy innym dziedzinom sztuki. „Niezrozumiałość” wynika w dużym stopniu właśnie z rozwoju pojęć, z pogłębionego widzenia różnych spraw. Przeczytanie takiego np. „Doktora Faustusa” — cytuję to jako pozycję o wartości bezspornej — wymaga wszechstronnego i gruntownego przygotowania intelektualnego.

Matematyk: Owszem, wymaga, ale nie jest to wcale pozycja bezsporna. Dla wielu ludzi, chociażby dla mnie, problemy tej książki to metafizyka. Nie mówię „jałowa metafizyka”, bo wszelka metafizyka jest jałowa.

Humanistka: No tak, niektórzy przedstawiciele nauk ścisłych wszystko, co w odbiorze humanistów wymaga wysiłku intelektualnego — skłonni są opatrywać etykietką „metafizyki”. Ale chciałabym usłyszeć, co panowie uważają za zasadnicze cechy waszej postawy, waszego światopoglądu, związanego z uprawianiem nauk ścisłych.

Biolog: Postawa tzw. humanistyczna i tzw. przyrodnicza niekoniecznie związana jest z wykonywanym zawodem.

Humanistka: O, na pewno nie, ale w wypadku naszych rozmówców — jest, a w ogóle często bywa.

Fizyk: Najpierw zastrzegam, że nie chcemy tu uchościć za bardzo reprezentatywnych, czy typowych przedstawicieli nauk ścisłych. Jeśli chodzi o charakterystykę postawy przyrodniczo-technicznej, to widziałbym trzy typowe jej cechy. *Primo:* zerwanie z wszelkimi elementami magicznymi...
Humanistka: W sensie racjonalizmu czy empiryzmu?

Fizyk: Jednego i drugiego. *Secundo:* znacznie zaawansowana znajomość i stale rozwijające się poznanie przyrodnicze otaczającego świata. *Tercio:* skuteczność praktycznej wiedzy o świecie. Bodaj najbardziej charakterystyczną cechą postawy przyrodniczo-technicznej wobec świata jest jej aktywizm. Postawa ta prowadzi do bardzo intensywnego poznawania świata w określonym celu: aby go zmieniać dla ludzkich potrzeb.

Humanistka: A jak przedstawia się dla pana problem etyki?

Fizyk: Zagadnienie etyki i moralności wiąże się dla mnie nierozdzielnie ze sprawą optymalnej sprawności organizacji społecznej i jakimś procesem optymalizacji życia społecznego.

Biolog: Etyka to ekologia. Istnieją normy, wynikające z historii filogenetycznej organizmu w określonym środowisku fizycznym i biologicznym. W wypadku człowieka dochodzi moment psychiczny, komplikując sprawę.

Humanistka: Fizyk, wprowadzając pojęcie „optymalności” zaczyna wartościować, to znaczy wkrocza na klasyczny teren humanistyki. Optymalny, najlepszy, ale z jakiego punktu widzenia?

Fizyk: Powiedzmy z punktu widzenia realizacji wymienionych uprzednio cech postawy przyrodniczo-technicznej, z punktu widzenia zachowania gatunku, z punktu widzenia sprawności produkcyjnej nowoczesnego społeczeństwa itp. itp.

Biolog: To są niektóre z możliwych punktów widzenia, ale bynajmniej nie wszystkie. Na ziemi są trzy miliardy ludzi i mniej więcej tyleż wizji optymalnego świata, często skrajnie różnych.

Humanistka: Zdaje mi się, że tu dochodzimy do jakiegoś zasadniczego punktu. Fizycy i matematycy obracają się w świecie pojęć i prawd jednoznacznych, tymczasem świat ludzki jest światem wieloznacznym.

Biolog: A motywy ludzkiego postępowania i reakcji są często jak najbardziej irracjonalne.

Humanistka: Czy panowie czytali książkę „Homo faber” Frischa? Tam właśnie — o ile dobrze rozumiem autora — pokazana jest sprzeczność między racjonalizowanym światem a irracjonalnymi elementami ludzkiej natury i ludzkiego losu.

Fizyk: Czytałem tę książkę, raczej mi się nie podobała...

Biolog: ...No, spodziewam się!

Fizyk: ...Załamał się nie tylko bohater powieści, ale i autor, który nie udźwignął tematu.

Humanistka: Pan tak uważa, bo Frisch ukazał pewne aspekty sprawy, których pan z zasady nie chce przyjąć do wiadomości!

Fizyk: Jesteśmy świadkami wyrastania nowej postawy wobec życia, postawy

przyrodniczo-technicznej i tworzenia się nowej wizji świata, opartej na dziedzinach przyrodniczo-technicznych. Rezygnujemy raczej z poszukiwania nowych wartości w mocno już wyeksploatowanym „wnętrzu” ludzkim, natomiast znajdujemy je w coraz lepiej poznawanym świecie zewnętrznym. Na tej drodze dojdziemy do lepszego poznania także i siebie, bo jesteśmy częścią tego świata.

Humanistka: Ale częścią bardzo specjalną. Co dla pana jest wyróżnikiem człowieczeństwa?

Fizyk: *Homo sapiens* to dla mnie przede wszystkim *homo agens*, działający świadomie i skutecznie!

Humanistka: A, to znaczy... *homo faber*!

Fizyk: Owszem, bo — jak powiedziałem — aktywizm jest istotą nowoczesnej postawy wobec świata, świata intensywnie poznawanego i zmienianego.

Humanistka: Wydaje mi się, że zasadniczą różnicę między postawą przyrodniczo-techniczną a postawą humanistyczną można ująć w dwu słowach. Was interesuje „jak”, a nas, humanistów — „po co”. Wy chcecie dany człowiekowi świat poznawać i przekształcać, my wcale nie jesteśmy przeciwni przekształcaniu, ale chcemy przede wszystkim określić nasz stosunek do świata — od grozy aż po oświecenie światem, i pytamy o sens świata.

Matematyk: Po pierwsze jestem przekonany, że bardzo wielu humanistów nie zgodziłoby się z taką definicją. Nie wszyscy cierpią na obsesję eschatologiczną! A po drugie — to są pytania, na które i tak nie można dać sensownej odpowiedzi, więc po co je stawiać.

Humanistka: Ale nie ma chyba człowieka, który w jakiejś chwili swego życia ich nie stawia. Kto z nas nigdy nie myśli o sensie cierpienia, śmierci? **Fizyk:** Nie sądzę, aby warto było o tym myśleć, szukając w tej problematyce przesłanek określających nasz światopogląd. Jest to bardzo niedobry układ odniesienia. Nic sensownego z tej zadamy nie wynika.

Humanistka: Bardzo się cieszę, że użył pan słowa „zaduma”. To jest w istocie znakomita definicja postawy humanistycznej. Zaduma nad światem — to jest przecież arcyłudzkie. *Homo agens* bez zadumy to nieomal robot...

Biolog: I pan sam tak czasem dumasz, choć się od tego nie przyznajesz!...

Matematyk: No więc czasem dumamy, myślimy, ale na te wasze pytania każdy musi znaleźć odpowiedź we własnym zakresie. Będzie to za każdym razem odpowiedź osobista, to jest mająca znaczenie tylko dla mnie. Nie ma możliwości przekonania innych o słuszności takiej odpowiedzi.

Humanistka: Tu się zgodzę o tyle, że odpowiedzi, jakie my humaniści, dajemy, bywają często mitami. Ale rola tych mitów jest ogromna, nie można jej negować.

Matematyk: No, to prawda, że mity wyrzucane drzwiami, wciskają się oknem.

Humanistka: To tylko dowód, jak są potrzebne. Panowie obaj i wam podobni negujecie znaczenie mitów humanistycznych, negujecie w ogóle sens stawiania pewnych pytań, a tymczasem ludzkość tak czy owak je sobie stawia. A wy sami z kolei tworzyście własne mity, technicystyczne. Produkty waszej mitologii, rozmienionej na drobne, są zresztą niezbyt ciekawe. W naszym społeczeństwie wyrażają się one na przykład w tej chwili kultem własnego samoochodu.

Fizyk: Ogromne uproszczenie problematyki! ...Prócz tego pani nie docenia, zdaje się, znaczenia techniki dla całokształtu stosunków ogólnoludzkich. Różne środki łączności i komunikacji prowadzą nie tylko do coraz intensywniejszej wymiany myśli, ale do bardzo żywej wymiany wszelkich dóbr, zarówno materialnych, jak i kulturalnych. Dzięki temu wzrasta współzależność nie tylko gospodarza na całej ziemi. Fakty te prowadzą do całościowego traktowania sprawy współzależności wszystkich ludzi na ziemi. Model kultury europejskiej opanował praktycznie całą kulę ziemską...

Humanistka: ...raczej model cywilizacji.

Fizyk: ...Gospodarka stanowi także całość niepodzielną. Jest rzeczą niemożliwą, aby w tych warunkach nie nastąpiły istotne reformy w sytuacji politycznej naszego globu. Tym bardziej, że kontrowersje polityczne i dotychczasowe zasady współzależności między narodami grożą nie tylko zniszczeniem harmonijnego współdziałania i rozwoju kultury oraz ekonomiki na ziemi. Przy obecnym poziomie techniki grożą one zniszczeniem gatunku ludzkiego w ogóle. Dlatego paląca jest sprawa rozbrojenia, a następnie likwidacji państw i granic. Zasoby materialne ludzkości i jej rosnący potencjał produkcyjny są wystarczające, aby zabezpieczyć obecnie w ciągu życia 2—3 pokoleń dostatecznie wysoką stopę życiową dla całej rozbrojonej ludzkości. Byle tylko rozrodczość utrzymana była na rozsądnym poziomie. Sprawa najistotniejsza jest w tej chwili stworzenie odpowiednio sprawnej światowej organizacji, która zapewniłaby optymalny wzrost tych zasobów i potencjału produkcyjnego rozbrojonej ludzkości.

Humanistka: Nikt nie przeczy, że technika w ogromnym stopniu może przyczynić się do realizacji odwiecznych marzeń ludzkości. Takich marzeń, jak pokój, dobrobyt, swoboda działania, ruchów. Przez technikę do raju. Ale raju, z którego nie można wyeliminować śmierci, starości, bezwzględnej miłości, nieszczęśliwych wypadków, to znaczy cierpienia, nie mówiąc o niesprawiedliwości, bo tu są różne opinie. Doświadczenie mówi nam, że w najbardziej sprzyjających warunkach zewnętrznych człowiek niekoniecznie jest szczęśliwy, a...

Fizyk i Matematyk spontanicznym chórem: Szczęście to nie jest pojęcie naukowe!

Fizyk: Jest ono równie niewymierne dla humanisty, jak dla przyrodnika. Jeśli już o szczęście chodzi, to walczymy o stworzenie warunków, przede wszystkim materialnych, aby człowiek i wszyscy ludzie mogli być szczęśliwi, a nie o jakąś bliżej nieokreśloną chimery.

Humanistka: W tym sęk, że wy wszystko co niewymierne uważacie za chimery, albo metafizykę... A w życiu ludzkim elementy wymierne i niewymierne są mniej więcej równie ważne. I dlatego wszelka jednostronność w ujmowaniu tych spraw może być po prostu niebezpieczna, a na pewno jest niepożądana. Jakims ideałem byłaby politechnizacja humanistów i humanizacja technicystów. Tylko — jak to wynika chociażby z naszej rozmowy — nie jest to wcale sprawa prosta...



JESUS GUERRERO GALVAN — GOLEBIE

Teatr wierny słusznym założeniom

MARIA
BEHCZYC-RUDNICKA

widzów. Miliony ludzi obejrzały uznane przez świat arcydzieła literatury francuskiej i obcej — wobec takiego osiągnięcia nie ostoja się grymasy krytyków zapominających o podstawowym celu Narodowego Teatru Popularnego. Zapomnienie psychologicznie zrozumiałe, siłą bowiem rzeczy T. N. P. występując za granicą staje się na ten czas teatrem elitarnym, od którego oczekuje się rewelacji artystycznych.

I rzeczywiście T. N. P., gdy zawiątał do Polski po raz pierwszy, w r. 1954, z „Cydem”, „Ruy Blasem”, „Skąpcem” i „Don Juanem”, był dla nas istnym olśnieniem. Wtedy nieomal dekretowano u nas zatłaczanie przestrzeni scenicznej malowaną dyktą, obwieszanie butaforskich drzew papierowymi liśćmi, wycinanymi nieraz przez cały zespół teatralny w drodze zobowiązania (exemplum lubelska „Laternia” Jiraska). Ludzie zapomnieli doszczętnie, że scena polska jeszcze za Leona Schillera posiadała umiejętność operowania samymi kotarami, podestami i światłem. Zwłaszcza pokoleniu młodszemu wydawały się kotarowe rozwiązania Vilara epokowym odkryciem. We Francji zresztą były one nowatorstwem nawet dla dyktatora mody — Paryża, gdzie scena, mocą niepojętego paradoksu, pozostawała niezmiennie dostojnym muzeum — w Comédie Française, a wręcz rupieciarnią choćby u Sary Bernhardt czy w Théâtre Réjane. Nie ręczyłabym jednak za to, że owo funkcjonalne nowatorstwo T. N. P. nie wynikało po prostu z życiowej potrzeby ułatwienia przedstawień objazdowych. Życie z jego konkretnymi potrzebami jest największym nowatorem pod słońcem! — program dany nam do rąk przez Polską Agencję Artystyczną wspomina o występach T. N. P. po gospodach i garażach. Ale oczywiście przedstawienia w kotarach miały jeszcze tę zaletę, że pozwalały skupić uwagę na kunstowym i ważkim słowie mistrzów dramaturgii — a tu już wkraczamy w dziedzinę istotnych przymysłów artystycznych i ideowych.

Vilar przybył z Paryża, z PARYŻA! Tedy po jego pobycie rozpoczął się u nas szal kotarowy. Pęd do nowego teatru skierował się na linię najmniejszego oporu. Zdałoby się, że nadchodzi zagłada scenografii... Nie podobnego — scenograf stał się Nowatorem nr 1. On to przede wszystkim, w sojuszu z inscenizatorem, zaczyna szukać nowego stylu teatralnego. Rzecz została postawiona na głowie, bo nie ma nowego teatru bez nowatorskich sztuk i nowego stylu gry aktorskiej. Ale cóż, odkrywcze sztuki nie rodzą się jak grzyby po deszczu (zwłaszcza gdy się nie sięga po nowe treści), a starych nawyków aktorskich nie łatwo się pozbyć (szczególnie kiedy jest więcej „inscenizatorów” niż reżyserów), natomiast bez większego wysiłku uzyskuje się widowisko pozornie nowoczesne przy pomocy maquillage'u scenograficznego. Ma się rozumieć, nie można było długo stawiać na same kotary, plastycy teatralni zaczęli więc niebawem przyrządzać oprawy sceniczne kurtyzowane jak renesansowe leguminy, następnie zaś — komponowane z takich elementów dekoracyjnych,

jak patyki, drążki, rusztowania, skrzynie, postrzępione galgany, gazety, afisze... Nie mam nic przeciw tym drobnym pomysłom, chcę tylko powiedzieć, że jeśli w wielu wypadkach maskują one braki głębszych przemian i składają się na taniutki szablony, no to nieuchronnie musi nastąpić kryzys. I teraz — uwaga! Ponieważ Vilar wystawiał w kotarach już dziesięć lat temu, ponieważ we Francji ukazało się odtąd sporo sztuk prawdziwie nowatorskich (Beckett, Ionesco, Adamova i in.), ponieważ wreszcie ta nowa fala przestała być nową — obserwuje się więc tam zjawisko naturalne, pewną tendencję do „odświeżenia” teatru przez wprowadzenie czegoś w rodzaju zreformowanego realizmu.

W naszych teatrach proces ten — antyteza — synteza jest opóźniony, nie tedy dziwnego, że niektórzy nasi krytycy byli nieco zaskoczeni obecnymi spektaklami T. N. P. Cóż to? Takie rzeczy — i więcej! robimy już od kilku lat, my, którzy mamy Broszkiewicza, Różewicza, Mroźka, Karpowicza... Chciałoby się wiedzieć co dalej? A tu niby na złość zwykłą, uprzykrzone dekoracje-intérieur jak przed potopem oczyszczającym z grzechów naturalizmu. Czy to źle, czy to dobrze?... Wprawdzie goście, ale trudno! Trzeba powiedzieć, że źle, będzie sensacja, bo teatr paryski, trzeba mieć odwagę cywilną... Zresztą napomknę się, że na festiwalu w Awinionie było lepiej.

Tymczasem warto by może zastanowić się, czy nawrót Vilara do pełniejszej dekoracji nie został poddyktowany pewnym nawrotem w zapotrzebowaniach jego widzów, tych wyższych wspomnianych czterech milionów Francuzów, dla których pracuje Théâtre National Populaire.

*

To, o czym tu była mowa na razie, wydaje mi się sprawą zasadniczą. Ale chciałabym jeszcze sprzeciwić wrażeniu, jakie odniosłam z niedawnych spektakli Vilara w Warszawie.

Wybór sztuk? Jan Paweł Gawlik, krytyk kompetentny i przeważnie bezstronny, wołałby „Antygonę”, „Alkaidę z Zalamei” lub „Gburów”. Osobiście, horrible dictu! — nie cierpię Goldoniego. Wypada zatem poszukać kryteriów poza własnymi gustami. Cóż więc bardziej obiektywnego niż przypuszczenie, że Narodowy Teatr Popularny pragnął pokazać utwory francuskie?

Pokazał „Aferzystę” Balzaka i „Turcaret” Lesage'a. Obydwie rzeczy na scenie są dla Warszawy nowością. Nikt chyba z nas obecnie żyjących nie oglądał „Aferzysty” („Le Faiseur”), wystawionego w Polsce po raz pierwszy pod tytułem „Mercadet”, 25 kwietnia 1859 roku — ludzie mający po sto kilkadziesiąt lat trafiają się raczej na Kaukazie (i na pewno nie wywodzą się z drażliwego plemienia recenzentów). „Turcaret”, którego premiera polska odbyła się w Warszawie dnia 21 czerwca 1788 r., a wznowienie w Krakowie w r. 1872, wystawiono po wywołaniu w r. 1953 — również na scenie krakowskiej, a w 1955 w Teatrze „Wybrzeże” i w Gnieźnie. Jak na dziś kropka. Czyli

że nie jest ta sławna komedia tak szeroko u nas znana, by nie można było jej słuchać z zainteresowaniem w brzmieniu oryginalnym. Zresztą, mając świetny przekład Boya, warto by polczywać częściej na scenach polskich to cacko, to osiemnastowieczne „Zło krąży...”, demaskujące zepsucie epoki tym skuteczniej, że bez natrętnego kaznodziejstwa. Dorobkiewicz-finansista oszukuje swoją utrzymaną Baronową, Baronowa nabiera finansistę i ukochanego Kawalera, ukochany Kawaler z kolei Baronową, subretka i służący — swoich państwa. A wszystkie owe szalierstwa, choć rozegrane w sztuce całkiem zgrabnie i elegancko, budzą jednak w widzu obrzydzenie, o co właśnie chodzi.

Nie mniej przydatny dla scen naszych mógłby być „Aferzysta” Balzaka, tylko trzeba wystarać się o egzemplarz francuski i przetłumaczyć sztukę na nowo (nawiasem mówiąc, szkoda, że Vilar zaniechał dołączania egzemplarza do programu). Kto wie, czy Balzakowski „Faiseur” nie jest nawet bardziej aktualny niż „Turcaret”? Ostatecznie „nieprawości” czasów Lesage'a są w sensie społecznym na jakimś odleglejszym etapie, lajdactwa zaś, w które godzi satyra Balzaka, odbywają się w okresie potężniejszego kapitalizmu.

Jedną z recenzji warszawskich, składaną bardzo interesująco przynosi zestawienie „Aferzysty” z Beckettowym „Oczekiwaniem na Godota”, podpierając wywód homonimicznym brzmieniem nazwiska ojczyma Mercadeta. Zestawienie to wydaje mi się dość mechaniczne i dygresyjne, a wskutek tego przenoszące punkt ciężkości na sprawy marginesowe. Cóż bowiem z tego, że Mercadet czeka na swego Godota — różne przecie są postacie czekania. Jeśli już ulegać pokusie porównywać, to właściwiej chyba będzie poszukać analogii w utworach pisarzy współczesnych Balzakowi lub nieco od niego późniejszych.

Siostra wielkiego Honoriusza, Laura Surville, słusznie pisała w swym wzruszającym pamiętniku o autorze „Komedii ludzkiej”: „...ten, kto stworzył typ Mercadeta i pierwszy zgłębił plagę ażytożu, trapiącą dzisiaj tyle rodzin (rozstrzeleń, moje — M.B.R.), mógł spodziewać się uznania i w tej dziedzinie literatury”. Otoż „Le Faiseur”, którego sam Balzac nazywa w swej korespondencji „Mercadetem”, powstał około r. 1849, na krótko przed śmiercią autora. A w r. 1855 ukazuje się komedia Ponsarda „Honor i pieniądze”, jak również z bliską datą — jego „Gielda”. Co więcej: także w r. 1855 teatr francuski otrzymał „Złotą przepaskę” utalentowanego Augiera, gdzie występuje dorobkiewicz, który zdobył majątek na nieuczciwych spekulacjach i wyznaje cynicznie wiarę w wyłączną potęgę pieniądza. Następnie zaś w r. 1866 tenże Emil Augier odtwarza w swej „Zarazie” („La Contagion”) dość rozpowszechniony typ światowego szalierza,

(Dokończenie na str. 9)

WOJCIECH
GERSON
1831—1901

ZE SZKI-
COWNIKA
LUBLIN

Repr. z Katalogu
Wystawy w Muzeum
Miejskim w Byd-
goszczy (I—II.1939).
Ze zbiorów Edwar-
da Wrocławskiego



A więc jeszcze jedna wyprawa po nowe elementy sztuki scenicznej. Dyrekcja Teatru Im. Osterwy mozolnie przesuwa próby, przetaśkuje spektakle, by zespół nasz mógł zobaczyć w Warszawie gościnne przedstawienie Vilarowego T. N. P. Bóg zapłać za tę ekwilibrystykę organizacyjną, albowiem Théâtre National Populaire jest chyba najlepszym w świecie teatrem objazdowym, w Polsce zaś problem objazdów teatralnych czeka wciąż na właściwe rozwiązanie — nauka na dobrych wzorach jest przeto jak najbardziej wskazana.

Użyłam słowa „najlepszy”. Otóż przed kilku laty, w czasie miesięcznego pobytu w Czechosłowacji, miałam sposobność poznać z bliska słynną instytucję zwaną Vesnické Divadlo. Rygorystycznie planowa działalność tej sceny wiejskiej zasługującej we wszech miar na uznanie. Jednakże, bez obrazy dla cenionej placówki, trzeba stwierdzić, iż przedstawienia pokazywane przez nią we wsiach i miasteczkach są wprawdzie budujące w treści, lecz w formie do pewnego stopnia uproszczone. Jest rzecz jasna, że daleko idące uproszczenia nie wytrzymaliby krytyki widza w kraju o bogatych tradycjach teatralnych, jakim jest Francja. Toteż założyciel paryskiego T. N. P., aktor i reżyser Jean Vilar, musiał, licząc się z wymaganiami widowni stosunkowo wybredniejszej, szukać formy popularno-artystycznej takiej, przy której członki tego przymiotnika nie zamieniają się w alternatywy. Nie do przyjęcia było „albo... albo...”, fundamentem twórczego teatru stała się zasada: „i popularny, i artystyczny”.

Druga sprawa: teatr ten musiał być narodowy, czyli musiał postawić sobie za cel upowszechnianie przede wszystkim najprzedniejszej dramaturgii francuskiej. Francuzi kochają — i słusznie — swoich Corneille'ów, Racine'ów, Molière'ów i innych klasyków literatury z ducha galijskiego, można więc pokazywać wielokrotnie ich wspaniałą puściznę tym, co ją znają, a tych, którzy jej nie znają, należy zarazie podziwem dla jej wysokich wartości. Nie oznacza to oczywiście zasklepiania się w rodzimym repertuarze, wiadomo, że T. N. P. gra w różnych momentach swej działalności Sofoklesa, Szekspira, Calderona, Goldoniego, Kleista, Büchnera, Strindberga... Ze współczesnych — najchętniej Brechta, którego dzieła reprezentują na scenie tak niewzruszanie postępową myśl społeczną. Francuski T. N. P. układa repertuar nie dla „francuskich plesków”, lecz pod kątem przydatności jego walorów dydaktycznych do kształtowania humanistycznego światopoglądu w masowym widzu. Nie będę przytaczać liczb charakterystycznych frekwencji na poszczególnych sztukach wystawionych przez Vilara w ciągu dziesięciu lat istnienia jego teatru, dość powiedzieć, że są to liczby sześciocyfrowe, a zsumowane dają około czterech milionów

WYZNANIE NA TEMAT MIASTA

KONRAD EBERHARDT

W „NOWYM Kalibanie” Zygmunt Kalużyński pisze o swoim rodzinnym mieście: „W Lublinie linią centralną było Krakowskie Przedmieście, gdzie o ustalonych godzinach, nie spiesząc się, w nastroju „towarzystw” wszystko można było załatwić. Dworzec i miasto stanowiły dwie granice rytmu... Podczas realizacji planu 6-letniego ten podział aktualny jeszcze w pierwszych latach po wojnie, został rozbity”.

Kiedy przyjechałem do Lublina w 1950 roku, nie zastałem już „towarzystw” Krakowskiego Przedmieścia w opisanym wyżej sensie, ani podziału na dwa centra. Miasto zrobiło na mnie początkowo wrażenie przynębiające. Pryncypalną ulicą ciągnęły wozy z melasą z cukrowni, której słodkawy odór nie da się do niczego porównać; czasem zażenowane cokolwiek wieśniaczki pędziły tędy krowy. Tłumy wieśniaków przybyłych w celach handlowych tarasowały chodniki, o wytwornej, popołudniowej promenadzie nie było więc mowy. Stare Miasto cieszyło się wówczas bardzo złą sławą i odradzano udawanie się tam o zmroku. Przy Bramie Krakowskiej urzędowały „panienki”. Opowiadano sobie anegdotki o naiwnych przybyszach, którzy przekraczali tę bramę niczym granicę suwerennego państwa, chcąc doznać emocji „nocnego życia”, a później uciekali stamtąd „w białiznie”. Kolega służący w wojsku opowiadał mi o karnych ekspedycjach, które wyruszały na Stare Miasto, aby pomścić kumpli potrakowanych na przepustce w taki własnie sposób.

Oczywiście to tylko część obrazu ówczesnego Lublina, ponieważ z drugiej strony imponował on niezwykłą intensywnością życia intelektualnego. Te tłumy handlarzy, wozy z melasą i krowy, te walące się rudery i potworny dworzec z ludźmi śpiącymi na ziemi — a z drugiej strony osiem tysięcy studentów, dwa uniwersytety, szereg innych szkół. Wrząca masa młodzieży nadawała temu starym, wymęczonemu wojną miastu charakter jakiegoś niezwykle, gorączkowego wręcz ożywienia. Temperatura zebrań, dyskusji, posiedzeń przy wi-

Na tej kolumnie i na następnej znajdują Czytelnicy utwory pisarzy związanych z Lublinem urodzeniem lub czasowym pobytom, — którzy wzięli udział w spotkaniu w dn. 7 i 8 bm., zorganizowanym przez Wydział Kultury PMRN i Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Nadto na innym miejscu zamieszczamy artykuł Marka A. Jaworskiego, również uczestnika wymienionego spotkania. — Red.

Dzieciństwo

MARIA SZCZEPOWSKA

Okrągłe lusterka stołca na obrzniętych od soku czereśniach, brązowa i gładka kora wiśni, zastępy na gałęziach bursztynowy, lepki klej, światło przesiane przez kudłatą grzywę zielonych klonów, odarty z liści pręt leszczynowy, którym z dziką zajądlnością ścinał się główek chwastów, palec rozbity na cegle i cierń tkwiący w pięcie, dom widziany z wierzchołka najwyższej w okolicy lipy, szczyt strzelistego świerka, na który nigdy nie dotarliśmy, konkursy: kto dłużej utrzyma na nosie łażącego po nim chrabąszcza, wyprawy na błękitne bajorka po kaczęce (wszystkie kaczęce mają tę właściwość, że widziane z daleka są złote, a trzymane w ręku — tylko żółte i w dodatku pogryzione przez żuki), bazy o żółtym puszkę na srebrnym futerku, smak wiosennego powietrza i placz, rozpaczliwy placz, że trzeba wracać do domu na kolację. Cóż więcej? Może jeszcze ten sen, tkwiący do połowy w rzeczywistości, do połowy w samym śnie, sen — towarzyszył dzieciństwu.

Stoimy razem z bratem na szprychach drabiniastego wozu, trzymamy się kłonicy i patrzymy w niebo usiane gwiazdami. Niebo jest wysokie, iskrzące milionami świateł. — Każde z tych świateł, mówi mój brat, jest co najmniej tak duże, jak nasza ziemia, a nasza ziemia jest obrzydliwa. — Niemożliwe, odpowiadam. — Co niemożliwe? pyta brat. — To, że każda gwiazda to taka ziemia. — Czytałem o tym w książkach. — Głupie są te twoje książki. — Sama jesteś głupia. Wolają nas na kolację. — Poczekaj, mówię, przysięgnij, że nie iśiesz. — Na co mam przysięgać, na to, że czytałem, czy na to, że wszystko to takie ziemie? — Że to takie ziemie. — O tym ja tylko czytałem. — To czemu kręcisz mi w głowie? Wolają nas na kolację. — Poczekaj, mówię, czy możesz przysięgać, że te wszystkie gwiazdy to ziemie? — Mogę przysięgać, mówię. — To przysięgnij. — Trzeba iść do domu, mówi brat, wolają nas na kolację. — To sobie idź, ja zostanę. Brat puszcza kłonicę i nie oglądając się za siebie skacze w tył — ja za nim.

Resztę kończy sen. Nie znaleźliśmy pod stopami ziemi. Nasza ziemia zamienia się w jedno małe światełko na niebie. Nad nami są gwiazdy i pod nami pewnie też, wiemy jednak gdzie góra, gdzie dół i wiemy, że spadamy. Spadamy w tył, na wznak, z rozrzuconymi rękami, bezradni, zrozpaczeni, pozbawieni jakiegokolwiek oparcia. Spadamy ciągle na wznak, ciągle kręci nam się w głowie i wiemy, że nie ma pod nami dna.

Ten sen trwa ciągle, choć dzieciństwo dawno się skończyło.

nie (pamiętna „górką” w Lublinie) wydaje mi się dzisiaj nieporównana, jedyna. Nigdy nie nagadaliśmy się tak, jak wtedy. Jeżeli czynię to dzisiaj, to chyba bez dawnego przekonania.

Powstawało, po dość długiej przerwie, pismo, na którego łamach ukazuje się właśnie to wyznanie. Przerzucając roczniki „wskrzeszonej” „Kameny” odnalazłem, nie bez wzruszenia, swoją pierwszą „prozę artystyczną”, utrzymaną w estetycznych kano-

nach „ubiegłego okresu” oraz reportaży z pierwszej fazy budowy kanału Wieprz—Krzna. Właśnie oddano go do eksploatacji.

Później upłynęły lata poza Lublinem, jeździło się tu i tam. I oto znalazłem się w eleganckim, europejskim mieście, któremu koniecznie maquillage przywrócił zakonserwowaną niegdys urodę. Asfalty, neony, zieleńce. Wytworne punktowce w nowej dzielnicy „Głębokiej”. Nowoczesne, przestronne (Dokończenie na str. 6)

TADEUSZ BOCHENSKI

Skrzypce

Serce porty jest to miesiąc, ale i kwiat, i nawet skrzypce. Miesiąc pompuje rudą krew, kwiat pachnie, skrzypce zaś czekają. Trzeba ci smyczkiem być, ramieniem, umiejętnością i geniuszem, jeśli muzykę doskonałą chcesz wskrzesić. Bądź więc albo — [odejdź.]

Las

Świerków nie widać. Szary widać kamień porostów, a słychać serce lasu: ptaka. Staje, zmieniony w przyjaźń, w odpowiedź na śpiewaka.

WACŁAW MROZOWSKI

* * *

Czasem latem uciekam z miasta, gdy alkohol mnie zegnje i znuży, koszar lęku jak wrzód się rozrasta i nie sposób już dręczyć się dłużej.

Samotności pragnę, snu, spokoju, drzew urody i ciszy kwiatów, oczyszczenia ze złud alkoholu co zrobili mnie wnętrzem granatu.

W otępieniu dni kilka upływa, z zaciśniętej uwalniam się krtani, aż tu nagle, niestety, tak bywa, ktoś spotyka mnie niespodzianie.

Zamykają się oczy jak kielich w uszach dźwięczy czarnoleski tren i pod lipą wśród orkiestr pszczeleli z Barleycornem znów pięć portwań.

Cóż z ucieczki? Cóż z radości żony, skoro wrócić wieczorem pijany? Widać zawsze w jakie umknę strony wszędzie będą na niego skazany.

(Z cyklu „Z Johnem Barleycornem”)

ANNA KAMIENSKA

C Z A S Y małego szczęścia

— Są czasy małych ludzi — mówił mój rozmówca zając trawkę, która dopiero rozwijała swe soczyste białe piórka. — Czy zauważyłaś — zwrócił się do mnie gwałtownie, jak gdybym próbowała mu oponować — zauważyłaś, że w naszych czasach mali spełniają muszą rolę wielkich? I spełniają. A historia, mimo to, posuwa się naprzód. Olimp grecki — czyż to nie galeria małych ludzi, pełnych przywar i śmieszności? A mimo to biją pioruny.

— Dobrze — odrzekłam, spoglądając na niebo bez chmurek. — Twoja genealogia Olimpu odpowiada mi. Dowodzi ona jednak, że nie tylko nasze czasy są czasami małych ludzi, skoro były nimi także czasy, których Olimp był zwierciadłem.

— Nie dość tego — przerwał mi z gwałtownością właściwą ludziom nie nadającym się na dyskusantów, gdyż uwzględniała tylko własne racje. — Nasze czasy są czasami małego szczęścia. Czyż kiedykolwiek poeci opiewali tak wytrwale szczęście rodzinne, dach nad głową, narodziny i powrót do zdrowia? Czyż ktokolwiek z dawnych poetów widział na niebie coś więcej oprócz gwiazd, księżycy i zorzy?

Gdy to mówiliśmy, słońce świeciło już ukosem jak przed zachodem. Czy zdarzyło się wam w dzieciństwie zasypiając czekać na granicę snu? Jak to się zasypia? Jak to jest? Ale nigdy granicy tej nie dostrzegamy. Tak bywa też z wiosną. Nigdy nie mogę odżałować tego, że tracę moment rozkwitu wiosny. Czyżby go nie było, czy tylko my w mieście go nie widzimy? Czy wiosna budzi się? Czy wybucha? Byliśmy już daleko za miastem i chłodny, rześmy wiatr dmuchał nam w włosy. Liście na drzewach były jeszcze delikatne i pomarszczone.

— Masz rację. Małe szczęście wydaje się dzisiaj wielkim — myślałam z gorączką, gdyż rzeczywiście

to, co nazwałam małym, wcale mi się takim nie wydawało. Być może, że to mało — czuć wiatr wiosenny we włosach, oddychać, żyć, dotykać ręką czyjeś ciepłej dłoni, a policzkiem — szorstkiego ramienia. Pewno dlatego nie wydaje mi się to małym szczęściem, że sama jestem mała.

— Zawsze masz rację — powiedziałam. A wtedy zauważyłam budząc się z zamyślenia, że mój towarzysz bardzo się zmienił. Czy to światło zachodu padło mu na twarz? Jego oczy zamglily się dziwnym uśmiechem, z którym patrzył na mnie. Wziął moją rękę i jego ręką, jak przypuszczałam, była sucha i przyjemnie ciepła.

— Nie masz racji! — odskrzyknęłam własnym swoim myśłem sprzed chwili.

TRUPEK

Chodziłem w wytartych wełnowych spodenkach niezgrabnie uszytych przez matkę. Wiedziałem że z tyłu zwisa mi torba. Miałem również kłopoty z pończochami. Okrągłe podwiązki gubiły się lub zsuwały do kostek odsłaniając stwardniałe kolana. Nie byłem dzieckiem ani miłym, ani umiejącym się przypodobać. Zdawałem sobie sprawę z tego że wyglądam śmiesznie, gdy w kole innych dzieci udaję małego przedszkolaka, tupię lewą nóżką, prawą nóżką, klaszczę w rączki i okręcam się na palcach. Na dodatek matka, mając kłopot z utrzymaniem mojej głowy, ostrzygła mi włosy do skóry i one odrastały sztywno i krzywo odsłaniając śmieszne wiry nad skronią. Byłem spokojny i tępy. Życie i wszystko, czego nie rozumiałem wprawiało mnie w osłupienie. Tak jak bym chodził tylko i nie przestawał się dziwić nie wyciągając żadnych wniosków z tego dziwienia, nie dochodząc do żadnej wiedzy. Dopiero później, kiedy byłem pełny tego dziwienia zamieniło się ono w ironię — zawsze utrzymującą mnie w dystansie od świata. Od rana czekałem na żupę. Bawiłem się tylko dlatego, żeby zasłużyć na żupę. Brzęk naczyń na dole

i nagle buchający zapach jedzenia powodował skurcz w brzuchu podobny do bólu. Rozlewano żupę w blaszanych miskach, które miały swój smak i zapach. Do dziś pamiętam gesty smak tych żup, w których leżały grubo krajane kartofle. Bywały kluski z młkiem, bywały pyszne zawiesziste zacierki z grubą fasolą na dnie. Raz dostaliśmy po dwa jabłka. Wnieśli je w dużym koszku od bielizny.

Pani była bardzo ładna. Męczyła się z dziećmi. Najwięcej z tymi, które miały wszy i były brudne. Niektóre uciekały z przedszkola, co mnie bardzo dziwiło. Chłopcy urywali się na lotnisko, podpatrywali maszyny. Wolalem się bawić z dziewczynkami, chociaż często robiły w majtki lub wisiały im pod nosiem sople. Śmiały się, pisały, gdy się je laskotało. Były mądrzejsze i doświadczone. Nie dziwiły się niczemu i wszystko przyjmowały jakoś po gospodarstwu — nawet śmierć.

Pewnego dnia bawiliśmy się na podwórzu u Heli. Nagle z przybudówki, która stała w głębi podwórza wyleciała kobieta i machając rękami, szarpając na sobie ubranie, zaczęła wyć dziłkim głosem. Przestraszyłem się, myślałem, że zwariowała.

— Na pewno dziecko jej umarło — powiedziała Hela tonem uspokojenia, rozsądnie i wyrozumiale.

Nie widziałem jeszcze nieżywego człowieka. Na drugi dzień Hela pociągnęła mnie, żebym zobaczył trupka. Drzwi były otwarte, ludzie wchodzili, przysięgali się dziecku i wychodzili. Matka dziecka była już spokojna. Siedziała na brzegu łóżka, pilnowała świec. Zobaczyłem ze zgrozą, że Hela wyciągnęła rękę, myślałem, że go dotknę. Ale poprawiła tylko koronki zwisające w głowach trumienki. Uciekłem. Przypatrywałem się jak chłopcy biegali za starym żebrakiem zwanym „Barszczukartofli”. Chodził w długiej, brunatnej sukmanie, ciężkiej i obwiszonej latami. Mówiono, że ma w niej zaszyte pieniądze. Biegałem z wariatką Walerką, która w czarnej wydekolowanej sukni siadywała koło kościoła. Wszystko to było dziwne, nie do pojęcia, ale jednocześnie realne i oczywiste.

Ja dzisiejszy, który to piszę, nie mam nie wspólnego z tamtym chłopcem, choć mówię o nim „ja”. Jest mi on tak samo obcy i daleki, jak mały trupek dawno zetlały w ziemi i w sercu swojej matki.

WYZNANIE NA TEMAT MIASTA

(Dokończenie ze str. 5)

budownictwo LSM-u i cała armia mieszkalnych bloków na Tatarach. Chodząc po tym nowym Lublinie zanępkolem się nagle, czy ta inwazja nowoczesności nie zniszczyła „tamtego” Lublina, z którym się zżyłem. Poszedłem na ulicę Wyszyńskiego, która kończy się urwiskiem; dawniej stojąc za żelazną poręczą widziało się tuż, niżej podchodzące, pofalowane, zielone pola. Bardzo lubiłem to połączenie śródmieścia z łąkami, jak gdyby realizację marzenia, „aby miasta budowano na wsi”. Dzisiaj na tych polach wyrastają czerwone domiska. Szkoda. Choć raczej nie, bardzo do-
brze.

Została jednak nienaruszona sylweta miasta widziana od strony Nowej Drogi; te wielokształtne bryły domów rozsypane na grzbiecie wzgórza, z pomiędzy których wyrwyją się wieże kościelne. Jest coś bardzo kresowego, wschodniego w tej sylwecie miasta, w jego kapryśnym rozrzuconiu, w jakiejś niedbałości układu. W jednym z listów do matki Słowacki wraca wspomnieniami do Krzemieńca — i zachwycą się w nim właśnie tą poetycką swobodą, niedbałością kompozycji miasta. Później do-

pięro odkryłem, że właśnie ta „wschodniość” Lublina była mi najbliższa i jakoś we mnie została. Doceniam zwartość, ład, zdyscyplinowanie pejzażu miast zachodniej Polski — a jednak instynktownie wyrwyją się w przeciwną stronę. Lublin, może nawet bez udziału mojej świadomości, zaszczerpił we mnie pewien ideał estetyczny miasta i jego właśnie później szukałem.

Jerzy Liebert napisał w swym wierszu „Warszawa”: „Ani to zachód ani wschód, jakby ktoś stał w otwartych drzwiach”. Nie pamiętam przedwojennej Warszawy, wydaje mi się jednak, że nie było w niej tak wiele „wschodu”. Natomiast słowa te pasują jak ulał do Lublina. Choć oddalony jedynie o śmieszne 170 km od stolicy, zawsze wydawał mi się miastem, za którym zaczynają się stepy. Szczególnie patrząc na panoramę okolic z placu na Starym Mieście, na którym stał niegdyś, jeśli się nie mylą kościół św. Michała. Z placu tego, tuż przy krawędzi skarpy, rozciąga się widok na ogromną równinę. Dzisiaj nie jest to pusta płaszczyna: w głębi hale FSC, nowe osiedla mieszkaniowe, fabryki, w dali Świdnik. Dawniej — była to ogromna przestrzeń, gdzieś u styku z niebem ciemniejąca smuga lasów. Stojąc w tym miejscu zawsze czułem się trochę w klimacie „kresowych” powieści Sienkiewicza; czuło się tu wiatr ze wschodnich równin.

Trzeba zresztą przyznać, że uporządkowanie otoczenia zamku „przywróciło” nam jeden z najpiękniejszych pejzaży miejskich; sylweta wzgórza, ze spiętrzoną na nim Starym Miastem może konkurować z najgłośniejszymi wizerunkami zabytkowych miast europejskich.

JAN NAGRABIECKI

Noc Lubelska

Kocur księżycowy
kucnął nad Mleczną Drogą

Czuje na grzbiecie
jego ciężkie szpony

Miauczy do ucha wieczoru
płaszcząc duchy ptaków
mojego snu

Na niebie chłopiec wiejski
w podartych spodniach
kosł gwiazdy i obłoki
i niesie obłok snów
Czechowiczowi pod głowę

Wyciągam dłoń
do niebieskiego chłopca
Przestaje kosł
Czechowicz daremnie oczekuje

RYSZARD LISKOWACKI

Modlitwa do nocy czarnej

Nocy czarna, ujeżdżana chmurami,
bądź przy mnie blisko,
bo znów tęsknię do krajów kolorów,
bo znów marzę o podróżach
[słonecznych...]

Wybaw mnie od tęsknot i marzeń.

Niech się spełnią, wszystkie twoje cienie
i niech one będą światłem przewodnim.
I niech one będą drogami,
po których ślepy nie błądzą.

Nocy czarna... mój powszedni dniu,
nocy czarna... godzino ostatnia,
Nie zostawiaj mnie na jasnej drodze,
nie oddawaj mnie ramionom światła.

szymi wizerunkami zabytkowych miast europejskich.

Wydaje się pewnie, że miasto o takim zapasie piękna, które właścicielom stale można odkrywać i eksploatować, nie powinno zaniedbywać sprawy artystycznej reklamy swoich uroków. Dni Lublina są być może skromnym, pierwszym krokiem w tej dziedzinie. W ich ramach odbyło się niezmiernie sympatyczne spotkanie pisarzy, związanych w swej przeszłości z Lublinem. Na wezwanie stawili się niemal wszyscy, w komplecie. Można było

jednak odnieść wrażenie, że ich obecność nie została należycie wykorzystana, że powinni wracać bardziej utrudzeni spotkaniami, udziałem w imprezach. Powinny odbywać się również analogiczne zloty artystów, tym bardziej, że Lublin jest przecież wyjątkowo malarski i fotogeniczny. Stwórzmy wokół niego „atmosferę”, ruch, tradycję artystyczną. O wiele mniej urodziwe miasta zachodnioeuropejskie czynią to z godnym zapamiętaniem.

Konrad Eberhardt



Wielkość Nansena, najznakomitszego badacza krain podbiegunowych w XIX stuleciu, odsłoniła mi się później, kiedy przeczytałem „Wyprawę polarną” Dobrowolskiego, poznałem relację-dziennik Nansena i jego późniejszą działalność — po pierwszej wojnie światowej — jako społecznika.

Przejrzałem teraz ponownie jego „Podróż do bieguna północnego”. Interesująca lektura. A jak odsłania postać tego nieugiętego człowieka, który wprawdzie nie dotarł do bieguna, ale osiągnął punkt odległy od niego o 450 kilometrów, a więc tyle, ile dzieli Lublin od Wrocławia. Trzy zimowania: dwa z załogą na „Framie”, a ostatnie — z Johansenem, towarzyszem wędrowki przez lodowiska na saniach z psim zaprzęgiem i przez morze w kajakach. Co za odwaga w spotkaniu z niedźwiedziem (uratował wtedy towarzysza) czy złośliwymi morsami! Jaki hart w przepłynięciu na dużej przestrzeni lodowatej wody dla odzyskania kajaków porwanych przez wiatr na pełne morze. Ostatkiem sił kostniejącymi już rękoma wdrapał się na jedną z uratowanych łodzi, bez których obu podróżników czekałaby niechybna śmierć.

I nie tylko żadnych utyskiwań na niebezpieczeństwa i trudy wyprawy, na bezwzględność surowego klimatu, na długość nocy polarnych, ale spokój i pogoda. „Nigdy nie prowadziłem życia tak przyjemnego” — notuje w dzienniku 25 grudnia 1893 roku, a w kilka dni później: „Noc podbiegunowa nie wywarła na mnie zgnębionego wpływu. Przeciwnie, czuję, że podczas tego zimowania odmłodziłem... Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek był zdrowszy. Co więcej sądzę, że okolica podbiegunowa mogłaby stać się doskonałym miejscem zdrowotnym dla osób osłabionych albo dotkniętych cierpieniami nerwowymi”.

Podobno Nansen był nie tylko sportowcem (łyżwiarzem i narciarzem — zwycięzca w piętnastokilometrowym biegu na przelaz), podróżnikiem, uczonym badaczem, profesorem uniwersytetu, dyplomata, społecznikiem i pisarzem, ale również malował. Potwierdzają to jego plastyczne, pełne kolorystyki obrazy przyrody, jak np. opis nocy polarnej: „Nie ma chyba nic piękniejszego w naturze niż noc podbiegunowa. Jest to kraina snów malowana najdelikatniejszymi barwami. Najrozmaitsze odcienie zlewają się ze sobą w zdumiewającą harmonię. Niebo jest olbrzymią kopułą, w zenicie granatowego koloru, który powoli przechodzi w zieleni, liliowość i fiolet. Na ogromnym polu lodowym widać niebieskie cienie, ostre kany torosów potyskują różowym światłem, ostatnim odbłyśkiem zamierającego dnia. W górze świecą gwiazdy, wieczny symbol pokoju. Jednocześnie zora północna rozpościera swe szaty, mianując się srebrną, żółtą i czerwonym kolorem. Kształty jej zmieniają się co

chwila: oto światło rozwija się niby olbrzymia draperia, kurczy się, dzieli na srebrne kola, z których tryskają ogniste promienie, i nagle gaśnie jak tajemnicze zjawisko”.

Podróż Nansena trwała od czerwca 1893, kiedy to opuścił Chrystianię (dziś Oslo), do czerwca 1896 r., kiedy dotarł z towarzyszącym mu Johansenem do przylądka Flora jednej z wysp Ziemi Franciszka Józefa, skąd po miesiącu wrócił poprzez Hammerfest, gdzie oczekiwała go żona, i Tromsø, dokąd wcześniej dopłynął szcześliwie kierowany przez kapitana Sverdrupa „Fram” — do Chrystianii, która uroczyste powitała bohatera 9 września.

Wyprawa Nansena, niezmiernie ważna pod względem naukowym, obeszła się bez żadnej ofiary ludzkiej. Inaczej niż wiele poprzednich, z których najtragiczniejszy los spotkał Franklina w r. 1845 i De Longa w 1881. Zasluga to jej kierownika, który się do niej starannie przygotował i świetnie przystosowanego do podróży polarnych statku. Historyczny „Fram” był tak solidnie zbudowany, że później korzystał jeszcze z niego Amundsen.

Ale podróżnicza i naukowa działalność Nansena to nie jedyna chwalebna karta jego bogatego i ośmiarnego życia. Był wielkim społecznikiem. W latach 1920—1922 zainicjował na olbrzymią skalę zakrojony akcję repatriacyjną. Dzięki niemu w ciągu dwu lat prawie pół miliona jeńców wojennych z 26 krajów powróciło do swych rodzin. Kierował przesiedleniem setek tysięcy ludzi z Rosji (paszporty nansenowskie), pospieszył z pomocą dotkniętym klęską głodową obywatelom Republiki Radzieckiej. W uznaniu dla tych zasług udzielono mu honorowego członkostwa w moskiewskiej Radzie Delegatów Robotniczych i Chłopskich.

A w Lidze Narodów Nansen pracował nad realizacją idei powszechnego rozbrojenia (już wtedy o tym była mowa!) i pokojowego załatwiania sporów międzynarodowych, za co w roku 1922 otrzymał nagrodę pokojową Nobla.

W tym miesiącu upłynęło 100 lat od jego urodzenia.

X. Rovay



Karol Lubelski z Babbiem w. XVI

STEFAN WOLSKI

ONA

Szukałem ciebie wszędzie.
Skrzydeł czasu nadużyłem wielokroć,
aż drżały potężne i gniewem ciemne,
zawsze przecie cierpliwse ode mnie.

Na ilu fałszywych tropach
szumiały przyboje pogoni:
w oczu zawodnej miękkości,
w gorzkiej słodyczy ciała...
Ani w welonach słońca
rozdziobanych ariami skowronków,
w misteriach tatrzańskich świtów,
ani w leśnych procesjach sosen,
nawet w organach Bałtyku...

Może byłaś samym życiem.
Może w jego wiązaniach —
łłnością, gniewem,
bieżem zła lub ziarnem miłości;
najbardziej smutną, najmniejszą
[moneta]

miedzy zdarzeń chemią codzienną:
wśród życiorysów tysięcy,
gdy splatają przed lustrem warkocze
albo mydłą szecieczną na twarzy...

Wreszcie księgi...
Ale tam cudze łowiska,
tylko puste lub pełne zwierzyńcy.

A gdzie ty jesteś, moja,
uchwycona w obiektyw tematu,
związana siłkami metafor,
wyzwolona prawdą rozważań?...

I słyszałem nieraz pukanie,
i głos niklejszy od szepta.
Ale nigdy nie byłaś prawdziwa,
choć wybiegałem od razu.

Aż wolno pojąłem:
oto mój nos, moje oko i ucho,
a ręce czują,
i usta nawet w pocałunku są moje.

Milionem oczu widzących
kawał sośniny lub debu...
Lecz tylko ty dojrzałaś w nim
[kształty]

w płaszczyznach i lukach wyrazu.

Najtrudniej poznać najprostsze.
Odiąd wiem:
ona jest
i ja.
Wystarczy ranną godzinę
ze snu wydobyć i strząsnąć.

Aż po nocy głuche kolisko
oboje jesteśmy razem:
zamknięte drzwi przeznaczenia.

Widzi mi się

NANSEN

Z JEDNEJ z ksiąg mojego dzieciństwa: „Nad dalekim cichym fiordem” dowiedziałem się o podróżniku Fridjofie Nansenie, do którego mała dziewczynka z Tromsø napisała list z prośbą o przysłanie jej fotografii. Otrzymała ją z dedykacją i umieściła ją na stole między kwiatami, aby nacieszył się nimi on, który przez całe trzy lata nie widział żadnego kwiatka. Wzruszyło mnie to.

Nansen — norweski bohater narodowy. Pamiętam, jak mając dziewięć lat z ciekawością przeglądałem barwne ilustracje wytwornie wydanej książki „Wśród lodów i nocy”, jakie wrażenia zrobiły na mnie obrazy przedstawiające statek w okowach zimnej polarnej, walkę z białym niedźwiedziem i morsami. Próbowałem czytać opis tej podróży, ale wtedy lektura ta jeszcze była dla mnie za trudna.

W późniejszych latach Amundsen zaćmił swojego ziomka. Stał się dla mnie przez swą bohaterską śmierć jedną z najulubiętszych postaci. Tragizm Scotta też mnie urzekł. Ale ich wyprawy to już wiek XX.

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNĄ MŁODYCH

DO WAS WSZYSTKICH...

Ktoś kiedyś powiedział do mnie: W Lublinie, literatura młodych jest anemicznym pędem o tendencjach geotropicznych. Uwaga była trafna i jeszcze do niedawna byłam gotowa podtrzymać to zdanie. Było to w okresie, gdy egzystencja „Kolumny młodych” rwała się jak stary film, a nad „Biuletynem Młodego Twórcy” (ładna, oficjalna nazwa, „Konturów” nikt się nie doczekał) zawisła zagłada. Rozkład szedł od wewnątrz; redaktorzy bądź nie mieli czasu, bądź — jeżeli nie powiemy otwarcie, że nie potrafili — brakowało im entuzjazmu i — podejrzewam — traktowali pracę nad periodykiem młodych nieco jak urodzajny ogródek, w którym bez większego wysiłku można czasem zerwać jakieś jabłko. A przecież literatura młodych (nazwijmy ją ogólnie „twórczość”) istnieje, trudno ją tylko zauważyć, bowiem albo umiera w szufladach (choćby dobra literatura nigdy nie umiera), albo nikt nie wie, że to twórczość młoda i, że lubelska. Nie chodzi tu o jakiś regionalny szowinizm, ale o potrzebę trybuny, na którą każdy młody mógłby wejść i wrzasnąć: Jestem! — gdzie można by pogadać o formie, o wartościach estetycznych i o wartościach w ogóle.

Wylaniu się jeszcze problem niezbędności takiej trybuny, natrętnie pytanie, czy jest potrzebna. Chyba jest, należy do was i taką potrzebę odczuwam, a jak zorientowałem się z rozmów, inni — także. Zresztą — stała kolumna autonomiczna może stać się rodzajem dopingu, nie do pisania w ogóle, bo w takim wypadku lepiej nie pisać, ale do pisania coraz lepiej.

Jeśli chodzi o charakter kolumny, o jej kierunek, jest rzeczą jasną, że ukształtowanie jego zależy od was i propozycja jedynie być może to, co ja na przykład chciałbym w niej widzieć, a pragnąłbym dostrzec nie tylko utwory posiadające byt odrębny, będące przede wszystkim ową manifestacją: „Jesteśmy”, — ale także rzeczy powiązane z konkretnie istniejącą rzeczywistością, formę eseju, artykułu polemicznego, reportażu. Uprzejmość Redakcji „Kamieny” udostępniła nam jedną stronę pisma, do nas należy wykorzystanie tej szansy, a jest to, wydaje mi się szansa niemała.

Jerzy Mataczyński

MALA twórczość Carola Lorki jest związana wewnętrznym pokrewieństwem tematów, tak że pełne zrozumienie poszczególnych dzieł staje się możliwe tylko w świetle całokształtu dorobku poety. W gradacji tematów jednym z głównych jest śmierć:

„W każdym innym kraju śmierć to koniec. Kiedy przychodzi, żywi zasłaniają okna. W Hiszpanii inaczej, tutaj otwiera się wtedy okiennice. Wielu ludzi żyje zamknięty w czterech ścianach domu aż do chwili śmierci. A wtedy wynosi się ich na słońce...”

W Hiszpanii umarły jest bardziej żywy niż gdziekolwiek indziej. Jego profil rani jak berberyjski nóż”.

W kraju ponurego kosmizmu politycznego ciągnęło się na przestrzeni lat, śmierć staje się rzeczą powszednią:

Sędzia a za nim żandarmi
Przechodzą wskroś gajów cienie
Jęczy jak żmija zdeptana
Krew uciekająca w ziemię.

Śmierć inspiruje też twórczość poety swym aspektem metafizycznym. Trzeba zdać sobie sprawę, że Hiszpania, jak pisze Camus: „Jest to jedyny na świecie kraj, gdzie ludzie umieją połączyć w jakimś wyższym wymiarze konieczności miłości życia z rozpaczonym pesymizmem istnienia”. Takie ujęcie mogłoby się wydawać za wężeniem, tłumaczeniem, że na przykład rozwiązanie wszystkich dramatów Lorki morderstwem czy samobójstwem to tylko obsesja śmierci, co chociażby w świetle teorii dramatu społecznego Lorki jest nieprawdą. Nie, to tylko jeden aspekt świata w twórczości poety, skupionego jak w zwierciadle soczewki w całym bogactwie swojej różnorodności.

wania, kultu rzuconego na tło dramatyczne zmagającego się, to spokojniejszego krajobrazu. Pietyzm zmysłowych wizji nabiera groteskowego dyktansu przez ironiczną kolorystykę romanca (vide: „Romanca o św. Gabrielu” i in.) Cała płaszczyzna intelektualna jest podporządkowana światu poetyckiemu ludowej romanca, kultura ludowa jest tu momentem porządkującym.

Decydującym momentem w życiu Lorki stała się podróż do Stanów Zjednoczonych w 1929 r., z której wrzenia zamknął w zbiorze wierszy pt. „Poeta w Nowym Yorku”. Jego lojalność i poczucie przynależności społecznej rozbudzone przez kontakt z kulturą ludową pogłębia się, kiedy, jak stwierdza wnikliwy krytyk Olmos Garcia, „skonstatował z bolesnym zdumieniem, że i tam słowa miłości i miłość bliźniego są pozbawione treści, że używają ich ludzie odpowiedzialni za istniejące zło”. Wyzwała to dalsze impulsy twórcze, rozwija się zapoczątkowana w 1927 r. „Mariana Pineda” cała tak bogata twórczość dramatyczna Lorki. „Moja miłość do ludzi” — stwierdza w odczycie wygłoszonym w 1935 r. w Barcelonie — moja głęboka czułość i sympatia dla ludu skłoniła mnie do tworzenia teatru pozwalającego mi zwracać się do wszystkich, stapać się z wszystkimi” i jeszcze raz Lorka „Nowy teatr, awangarda form i teorii głównie mnie teraz interesują”. I kiedy naród hiszpański obala monarchię, deski sceniczne pokrywają się bohaterami sztuk Lorki adresowanymi do szerokiej publiczności. Teoretyczne idee dramatu społecznego znaczone dotychczas aluzjami do rzeczywistości (jak „Mariana Pineda”, pisana w czasach

O TWÓRCZOŚCI Federico Garcia Lorki

ANTONI BURZYŃSKI

Bujne życie intelektualne związane we wczesnej młodości może wywrzeć pewien wpływ kosmopolityzujący. Dom Akademicki w Madrycie, miejsce spotkań hiszpańskiej elity kulturalnej, że wystarczy wspomnieć muzyka Manuela de Fallę, tytułowego malarza surrealistów Salvadora Dalí, awangardowego reżysera Luis Bunela, poetę Morena Vilę czy całą grupę literatów spod znaku ultraistów, ma jednak dla Lorki swoją przeciwwagę. Czarowny folklor hiszpański z jego namiętną balladą cygańską, z pieśnią za umarłych śpiewaną przez asturyjskie kobiety grudniowym wieczorem w świetle pochodni, ze starymi obrazami świętych w wielkich kościołach — zaważy na jego odczuwaniu rzeczywistości i jej artystycznym przetworzeniu. Implikuje to nonkonformizm społeczny, a co za tym i polityczny, który będzie solą w oku dla ludzi w odległym Instytucie Ibero-Niemieckim, z chwilą gdy w 1927 r. madrylieni oglądają sztukę „Mariana Pineda” odczytując ją jako poemat o wolności, a losy bohaterki walk XIX-wiecznej Grenady jako wezwanie do walki z faszyzmem.

Linia rozwoju talentu Lorki, zapoczątkowana książką „Impresiones y paisajes” — wrażeniami z podróży po Hiszpanii, a wyznaczona przez wystawioną w Madrycie sztukę „Złe czary motyla” i zbiór wierszy „Libro de poemas” (Książka wierszy), osiąga swą stabilizację największego rozkwitu od roku 1924, kiedy to Lorka wyda kolejno „Primeras” „Canciones” (Pierwsze pieśni) i wreszcie w 1928 r. „Romancero gitano” (Romancero cygańskie).

Dziwna i urzekająca jest ta poezja. Urzekająca jest ta romanca zawodzącym tonem, nostalgiczną atmosferą dramatycznej niewspółmierności życia wobec śmierci, wobec drapieżnego hiszpańskiego honoru. Jest to świat zintelektualizowanego prymitywu, zwrócony ku akcesoriom ziemi hiszpańskiej z jej pyszną roślinnością krajobrazów Andaluzji, stoków górskich, drózek zatłoczonych młami, świat przenoszący do liryki ziemny nastrojowość romanca ludowej.

W malarskim kolorystyce tych utworów zadziwiająca jest chropawość, ostrość kształtów wydartych i jak gdyby oświetlonych dla naszego wzroku. Jedyny język materialnych metafor uchwytyje charakterystyczną dla ludu hiszpańskiego namiętność odczu-

dyktatury gen. Primo de Rivera) stają się coraz konkretniejsze.

„Dom Bernardy Alba” staje się ukoronowaniem dociekań nad teatrem, a jednocześnie chyba największą sztuką w jego twórczości dramatycznej. A więc walka z obłudą zakorzenionych pojęć, przesądów będących nie tylko śmieszny przeżytkiem, ale kosmizmem, który swym ciężarem między jednostką, rzucając cień śmierci — to pierwsza płaszczyzna logicznie zahaczająca o drugą, w której słyszymy skargę człowieka przytłoczonego układem stosunków społecznych. W poszukiwaniu nowych form teatru Lorka łamie tradycyjną iluzję sceniczną. Tworzy teatr syntetyczny (określenie F. Nourisier), łączący najrozmaitsze elementy: balladę i słowo, muzykę i tradycyjną gestykę postaci, taniec i śpiew, nawiązujący do tradycji teatru greckiego.

Funkcja ballady jest dwójaka — może być to rzeczywista romanca śpiewana przez kotłogów z bohaterów, może być też stylizowana wypowiedź jak np. monolog bezpłodnej Yermy:

Żal, żal, ocean żalu
Czy drzwi do szczęścia zamknęto
przede mną?
Chcę syna, cierpień wolam, co syna
przynoszą
A wiatr mi podarował senny kwiat
kieszycuca.
Oj biedne moje, biedne ślepe
pieraś,
Gołąbki bez bieli, bez oczu
stworzenia.

W „Domu Bernardy Alba” w klimacie niecodzienności, zgęszczonej atmosferze zmagają poządlowości zmysłowej z siłami moralnymi, od pierwszego zawiązania akcji nie opuszcza nas cień śmierci, która zakrada się, gdy tyrania człowieka nie pozwala rozwinąć się bujnemu życiu.

Śmierci, mimo której jak pisze Lorka „Artysta powinien śmiać się i płakać ze swoim narodem” i dalej: „Trzeba odłożyć bukiet lilii i zejść w błoto po pas, by pomóc tym, którzy szukają lilii. Co do mnie — czuję nieodpartą potrzebę porozumienia się z ludźmi.

Dlatego właśnie zapukałem do bram teatru, dlatego teatrowi poświęciłem całą swoją wrażliwość”.

Twórczość Lorki, poety, który może być śmiało postawiony obok twórców Złotego Wieku literatury hiszpańskiej, brutalnie przerwana strzałem faszyzmu jest konsekwencją powyższych słów.

JERZY SPRAWKA

MAREK KOTLIŃSKI

Studnia

Chodźcie prędzej
ze śpiwem
bólem sosnowych rąk
tam
Jakub
Studnia Jakuba
długi powróż
sękatek palców
ciągną wiadra
wypełnione
piaskiem w oczy.

Pensjonariuszom Państwowego
Domu dla Dorosłych w Lublinie
poświęcam

gdybym słyszał jak niewidomy
sobą kogoś kto blisko
lub papierosy rozdawał będzie
gdybym na gruszki-głowy
patrzył inaczej
i dwadzieścia cztery
lub mniej z nich odczytał lat
i wszystkie dziwne słowa
co bezżebne wargi wyrzucą
jak on słyszał
gdy rękę-pileczkę pingpongową
ci inni — z ulicy
odbijał i śmiać się będą
gdyby moje dziesięć kroków
było dwadzieścia kilometrów
i gdyby litery oczy kuli
jak ogień dłonie zimne
co za bardzo ogrzać się chciały
a przyjemnością moja największą
było
oblakane rondo mandolinie wyszarpać
pisałbym inne wiersze
i do innego bym modlił się boga
i inaczej
wszystkie dzieńdobry i słońca
[bym widział
a może każdego
o inny bym prosił uśmiech

lśniącego cylindra prostopadłe pa-
pierozy i spuszczając sprężynkę. Za-
latowane. Podziwiam prostotę i ce-
lowość konstrukcji.

Ktoś napomknął o jakichś imieni-
nach, które ewentualnie tu i teraz
można by obchodzić. Inny o dat-
kach dziekana dla zagranicy.
„Służba” niesie już matowe ta-
lerzyki i kryształowe popielniczki.
Dzieci pani domu płaczą się pod
nogami, przebiegając z trzech dal-
szych pokojów. Na podłodze mnóstwo
skręconych drutów telefonicz-
nych. Jakis żartuje, że ilość tele-
fonów wpływa na liczbę dzieci,
czy też odwrotnie. Nie rozumiem
dowcipu.

Pani domu się śmieje.
Ma krótkie, mocne nogi. Nie jest
specjalnie ładna, ale takie zdrowe
właśnie chyba najwięcej się wyży-
wają. Pragnę prawie podświadomie
wywołać jej obraz w łóżku. Nie
udaje się.

Na ścianie wisi kartka: „Wypro-
wadzić dzieci na spacer dziś po
potudniu”.

Zeby tylko nie przynieśli brzydka.
Co wtedy będą robić?

DEBIUT

MAŁE FORMY

ADAM FIALA

Dziwny dom. Coś jakby dzie-
kanat bądź świetlica, może
biblioteka — lub dom pry-
watny.

Wszedłem z kolegą T. z kory-
tarza — ciepło ubrany. W przed-
pokoju lub korytarzu mnóstwo na
gwoździach papierów z ogłoszeniami.
Tłoczno.

Wlazimy do maleńkiego pomiesz-
czenia — pokoiku na lewo. Klub
czy co — u licha? Spotykam kilku
znajomych w odświętnej garnitu-
rach. Bardzo poważni. Wszyscy
stoją, zbierając się grupkami. Jakaś
pani — tak, chyba pani domu,
powiedziała: „Dziś o trudnościach
wojska będzie miał odczyt kolega
S.” — Pan to przygotował? —
zwraca się do niego z pytaniem...
S. zaczyna mówić niezwykle po-
ważnie, wpadając w śmieszny fałst.
Wszyscy znużeni i chyba nikt
też nie słucha.

Chwytam nieostro treść pierw-
szych zdań. Mówi coś o trudności-
ach kulturalnych w wojsku. Dla-
czego o wojsku i trudnościach kul-
turalnych. Nie wiem. Może dlatego,
że jestem tu pierwszy raz.

Między książkami i czasopismami
postrzegam zwinęte francuskie
pismo.

Jakieś społeczno-kulturalne tygod-
niki. Papierosy. W pseudogóralskiej
szkatulce. Wszyscy równocześnie
sięgają po cygarnećki.

Ta cygarnećka to wielki kunszt.
Nie wiem, co z nią zrobić.

Myślę o współdzieleniu części w
karabinach i niekarabinach, roz-
kładaniu...

Cygarnećka ma sprężynkę nieco
podobną do scyzoryka. Kolega T.
odciąga mi sprężynkę, wklada do

Stop! niebezpieczny zakręt!

JERZY DOSTATNI

Od miesiąca około osiem tysięcy młodych ludzi w Lublinie spieszy codziennie na wykłady, ćwiczenia, seminaria, kolokwia. Do zimowej sesji egzaminacyjnej jest jeszcze trochę czasu i trudno już teraz powiedzieć, jaką młodzież otrzymały nasze uczelnie w tym roku. Nie widzę jednak żadnego powodu, aby była lepsza lub gorsza niż w latach poprzednich. A jeżeli okaże się nieco inna, to chyba tylko lepsza.

Zanim więc będą znane wyniki pierwszych egzaminów, warto na przykładzie lat poprzednich przyrzeć się nieco sprawie, na ogół — nie wiadomo właściwie dlaczego — wystdliwie ukrywanej. Chodzi o tzw. odsiew studentów. Krąży na ten temat różne bajeczki, powtarzane nie tylko przy kawiarnianych stolikach, a jeden czy drugi przykład z kręgu znajomych urasta do problemu, który ma rzekomo świadczyć źle zarówno o samej młodzieży, jak i personelu dydaktycz-

Andrzeja Tchórzewskiego „Spor o Czechowicza” nie zachęca do sporu i dyskusji z wielu powodów. Jest to, jak mówi przypisek, fragment większej całości; trudno więc atakować autora za fragment, kiedy nie wiemy, jak ma się on do tej całości. Pewne tezy i sformułowania, tu brzmiące pusto i bezpodstawnie, mogły na innym miejscu otrzymać pełne uzasadnienie. Prócz tego razi dysproporcja między zamierzeniem, jakie zapowiada tytuł, a zawartością artykułu. Nie wydaje się, by autor przemyslał sprawę do końca, natomiast za dużo zaufał metodzie impresyjnej, którą wytyka Przybosiowski. Nie warto spierać się o takie zdania i sądy, jak to, że w latach 1949-1953 krytycy literacy chcieli Czechowicza uczynić urzędowym „poetą katolickim”, bo to nieprawda; albo że „realizm (...) spełnia marksistowski postulat jedności i formy”, bo o tę jedność walczyli najpierw formalisci. Także zdanie: „Z Norwidem łączy Czechowicza wiele, a przede wszystkim dokładność i szczerść” — budzi wątpliwość. Szczerść to jeszcze rozumie, ale co autor rozumie przez dokładność, to trudno odgadnąć.

Dyskusję z Tchórzewskim utrudnia i to, że nie zarysowuje on wyraźnie przedmiotu sporu, nie stawia należyście udokumentowanych tez. Wyraża on jednak opinie, na które, znając nawet powierzchownie Czechowicza, trudno się zgodzić. Dla przykładu sprawa realizmu w liryce. Powiada autor: „Pojęcie realizmu jest fundamentalne dla zrozumienia poezji Cze-

przeciwstawiana właśnie literaturze realistycznej. Chyba że za składniki realizmu przyjmemy także sen, marzenia, wizje, wszystkie twory wyobraźni i fantazji, to Czechowicz jest realistą. Ale wtedy „realizm” staje się tylko workiem, mogącym pomieścić wszystko. Sam Czechowicz, odpowiadając swemu oponentowi (który właśnie bronił realizmu przeciw Czechowiczowi) na cytowany artykuł, napisał, że jeśli przyjąć takie rozumienie realizmu, gdzie znajdzie się miejsce i dla mistyki, to tak, Czechowicz jest realistą, a jego poezja realistyczna.

Jak bardzo kryterium realizmu liryki w interpretacji Tchórzewskiego, postulujące, by źródło przeżyć zawierało się w życiu, a nie w literaturze, jest nieadekwatne, może świadczyć „dom świętego Kazimierza” uznany przez Tchórzewskiego za jeden z najlepszych wierszy Czechowicza. Utwór ten ma swe źródło właśnie w literaturze, a więc powinien być nierealistyczny. Tak samo byłoby z wierszem „Iliada tętni”, poświęconym Wyspiańskiemu. Poetyka obu tych utworów nie odbiega od najlepszych wierszy Czechowicza.

Słowa „realizm” i „humanizm”, które Tchórzewski uważa za fundamentalne dla Czechowicza, na pewno takimi nie są. Podaję argumenty przeciw słowu pierwszemu: wydaje mi się, że i termin „humanizm” zbyt wiele i zbyt mało mówi. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na pewną niekonsekwencję Tchórzewskiego. Z jednej strony stara się on akcentować

mach i rozmaitych kontekstach. Być może zastosowanie do liryki Czechowicza terminu francuskiego badacza P. Guiraud „słowo-klucz” (u nas wprowadzonego przez K. Wykę w książce o Baczyńskim) pomoże w należytej interpretacji obrazowania Czechowicza.

Inna cecha poezji Czechowicza, godna prześledzenia, to tendencja do tworzenia makrokosmosu, do wyolbrzymiania świata, nadawania obrazom kosmicznych wymiarów. Wszędzie chaos, żywioły, wizje apokaliptyczne, oceany — to są elementy tego makrokosmosu. Często idzie ta tendencja w parze z dążeniem do uogólnienia konkretnej sytuacji metaforycznego sensu. Pouczającym przykładem może być utwór, który w pierwodruku nosi tytuł „Łódź podwodna”, a w książkowym wydaniu „Dno”. Z tą problematyką styka się katastrofizm Czechowicza, który mocniej należałoby powiązać z urazem i wspomnieniem wojny.

Trzecim zagadnieniem, mało opracowanym, jest kompozycja wierszy czechowiczowskich, zwłaszcza tych, gdzie materia główną jest sen, marzenie, wizja czy przemieszanie ich z rzeczywistością. Wiąże się to znowu ze sprawą ledwie przez krytykę wspomnianą: przełomu, jaki u Czechowicza nastąpił po zetknięciu się z poezją Apollinaire'a i nad realizmem. Warto przy tym pamiętać, iż autor „Kamienia” tłumaczył wiele wierszy Apollinaire'a, że napisał niemal entuzjastyczny artykuł „Ewolucje nadrealizmu”, a marzył o wydawaniu czasu

SPORU O CZECHOWICZA CIĄG DALSZY

TADEUSZ KŁAK

chowicza”. Najpierw próbuje Tchórzewski określić pojęcie realizmu w liryce, które sprowadza do „szczerości” i „wierności wobec własnych przeżyć” i „reagowania na rzeczywistość”, z tym że przeżycie musi mieć swe źródło w rzeczywistości, a nie w literaturze.

Pojęcie realizmu, nadzwyczaj wieloznaczne i nieokreślone (dopelniane przymiotnikami: mitologiczny, krytyczny, psychologiczny itd. — żeby coś znaczyło, w odniesieniu do prozy, rzadko służyło do określania liryki. Kryterium realizmu było jej przeciwstawne, a przynajmniej obojętne. Można, jak to robi Tchórzewski, przyjąć własną definicję realizmu i przypasować ją do poezji Czechowicza. Lecz cechy definicji podanej przez autora nie tylko nie mogą wyznaczyć odrębności liryki Czechowicza, ale w ogóle żadnego poety. Przyjęte przez niego kryteria są — bowiem za ogólne i pasują do każdej prawdziwej poezji.

Termin „realizm” użyty dla oznaczenia wartości liryki Czechowicza może powodować wiele nieporozumień. Realizm sugeruje ograniczenie się poety do elementów świata zastanego. Czechowicz, który dopracował się własnej teorii poetyckiej, nazwanej przez niego „fantazjotwórstwem” i „poezją czystą” (o czym we fragmencie Tchórzewskiego nie ma ani słowa), sam by przeciw temu protestował. W jednym z „wypadów przeciw tradycjonalistom poezji” („O dysonansie i zielonym koniu”, Ap. nr 9 z 1938 r.) pisze Czechowicz: „Wierzę w wyższość sztuki romantycznej, fantazjotwórczej, stwarzającej (...)” i dalej: „(...) słowa, ich dźwięki, znaczenia i zabarwienia uoboczne najlepiej się nadają jako tworzywo do gry czystej wyobraźni, do wtargnięcia w dziedzinę niemożliwie absolutnie wolnego tworzenia. Tworzenia przez duże T., kreacyjnego, prawie bożego”. W niedawnych dyskusjach literackich ta problematyka podejmowana była na nowo, a literatura kreacyjistyczna, stwarzająca nowy świat, była

humanistyczny sens poezji Czechowicza, z drugiej — protestuje przeciw przecenianiu motywów społecznych tej poezji. A są to dwie strony tego samego medalu. Akcentów społecznych znalazłoby się u autora „nuty człowieczej” bardzo dużo, tylko że w brzmieniu dyskretnym, aluzyjnym, a nie werbalnym. Problematyka społeczna, wrażliwość na krzywdę ludzką, przejawiała się u Czechowicza mocniej w utworach prozaicznych sprzed samej wojny. Czystym tematem — mówiąc prymitywnie — jest tam głód, nędza, kontrast między światem bogactwa i pieniądza a światem pokrzywdzonym. Bohaterami jego opowiadań i „skrótnów” powieści są nędzarze, ludzie z marginesu życia. Jest przecież Czechowicz autorem słów następujących: „Artystę obowiązuje także czystość źródła sztuki i sumienie ludzkie”. Wydaje się, że to sumienie stawało się coraz ważniejszym składnikiem poetyckiej postawy Czechowicza. To dla niego może być synonimem humanizmu. Nie neguję więc humanizmu liryki Czechowicza, ale wątpię, by był on słowem, który określa istotną jej odrębność.

A więc trzeba szukać — i to jest chyba główny kierunek sporu — innych definicji, bardziej w sprawie Czechowicza trafiających. Tchórzewski wymienia przygodnie ludowość, muzyczność frazy, potoczność (?) obrazowania. Tak, pisano o tym wiele. Najobszerniej i najtrafniej ujął te problemy Kazimierz Wyka w znanym esej o Czechowiczu. Ostatnio W. Szymański w „Balladach przed burzą” wprowadza słowo „intymność” dla określenia liryki Czechowicza. Spostrzeżenie celne i obejmujące szeroki krąg utworów poety. Mnie się wydaje, że krytycy powiedzieli już prawie wszystko o poecie. Temat: Czechowicz czeka na pióro filozofa, moralisty i naukowca.

Moim zdaniem, jedną z głównych dla Czechowicza spraw to obraz poetycki, obrazowanie. Przyznaję, iż nie potrafię w tej chwili należycie tego zagadnienia przedstawić, rezerwując sobie inną do tego okazję. Uważa jednak lektura poezji Czechowicza doprowadza do spostrzeżenia, iż pewna grupa słów, motywów, zwrotów pojawia się szczególnie często i to w funkcji „znaczącej”. Bez statystycznych obliczeń widać wyraźnie, że do takich słów należy dno, śmierć, złoto, złoty, srebro, srebrny, korona, czerwień, kółka, koń. Można więc zaliczyć Czechowicza do poetów o specyficznym typie wyobraźni, o zawężonym obszarze słownictwa. Jest to wyobraźnia obsesyjna i perseweracyjna, wyzyskująca wielokrotnie te same pokłady języka, tylko w różnych funk-

cji. Tytuł ten nosi, jak wiadomo, głośny poemat Apollinaire'a. Interesujące byłoby także pokazanie pokrewieństw z symbolistą Błokiem (stąd może u Czechowicza obrona wartości symbolu dla współczesnej poezji?). Uchroniłoby to także Tchórzewskiego od powtarzania słów Czechowiczowego, że Czechowicz jest poetą „bez jakiegokolwiek zależności”.

I tu pora przejść do wiersza „jesień”, który otwiera — zdaniem Tchórzewskiego, nową kartę liryki polskiej. Przypomnijmy ostatnią zwrotkę:

może usłyszę któregoś dnia
nutę człowieczą z samego dna
nutę co dzwoni mocno i ostro
a niebo całe dźwiga jak osrąb
„Pozornie czechowiczowski wiersz wydaje się brzmieć skamandrycko” — powiada autor szkicu. Czy to Skamander? Nie, jeszcze dawniej, to Tadeusz Miciński. Zresztą odszukajmy źródło inspiracji Czechowicza, utwór „Ananke” z tomu „W mroku gwiazd”. Oto początek:

Gwiazdy wydały nade mną sąd
— wieczną jest ciemność, wiecznym
[jest błąd.
— Ty buntowniku nadgwiezdnych
[wiesz
— będziesz się tułał, jak dziki
[zwierz.
— zapadnie każdy pod tobą ład —
— wśród ognia zmarzniesz
— stłisz się jak lont.

Czechowicz przejął od Micińskiego schemat wersyfikacyjny, a dwa ostatnie wiersze modyfikował przez dodanie jednej sylaby. W obu utworach spotykamy tę samą ascezę, „grozę” słowa i ogromną powagę tonu, którą narzuca surowy, ostry rytm. Miciński jest więc nazwiskiem, którego przy Czechowiczu nie można pominąć. Związków między obu poetami jest więcej i nie zawierają się tylko w tak zewnętrznych zależnościach, jak przytoczony przykład. Wiadomo, że Czechowicz był zwolennikiem poezji Micińskiego, a fakt, że w 1939 r. zagajal on wieczór poezji autora „W mroku gwiazd”, ma swoją wymowę. Spotkali się na nim katastroficy dwóch pokoleń, dwaj wizjonerzy. Drugie ich spotkanie odbyło się wkrótce po tym i w zupełnie innym świecie.

Szkic Tchórzewskiego ma może wartość jako przypomnienie pewnych spraw, ale wydaje się, że nie stanowi żadnego istotnego ogniska w „sporze o Czechowicza”. Jedna myśl godna jest uwagi i przemyślenia: poezja Czechowicza widziana oczami egzystencjalisty i personalisty. Spostrzeżenie frapujące, nasuwające ciekawe wnioski. Nawet jeśli ta myśl nie ma szans realizacji, Tchórzewski będzie pierwszym, który o tym napisał!

Do Redakcji „Kamień”

Uprzejmie proszę Sz. Redakcję o udzielenie mi trochę miejsca na łamach „Kamienia” w związku z artykułem Wiesława Szymańskiego, umieszczonym w jego książce pt. „Ballady przed burzą”.

Autor w art. „W kręgu Czechowicza” na str. 177 podaje:

„W wyniku zaś akcji (chodzi zaś tu o akcję przeciw ZNP — przyp. mój) interesujące jest tutaj jedno. Mój, któremu Czechowicz pomógł wydostać się z Lublina (gdzie mu się bardzo źle powodziło) osadzając go w związku w Warszawie, objął opuszczoną posesję redaktora”.

Autor sugeruje, że prowadziłem jakąś ciemną akcję przeciwko Czechowiczowi, aby po nim objąć jego posesję. Obaż z Czechowiczem związani je steśmy pewnym okresem życia i twórczości z Lublinem, słusznie więc będzie, gdy na łamach „Kamienia” zabiorę głos w sprawach, o których autor „Ballad przed burzą” świadomie albo nieświadomie mylnie informuje czytelników.

Zgodnie z faktycznym stanem rzeczy stwierdzam:

Nigdy nie byłem redaktorem „Płomyczka”, tym samym nie objąłem po Czechowiczu opuszczonej przez niego redakcji „Płomyczka”.

Byłem natomiast w latach 1935/6 (tj. od września 1935 r. do czerwca 1936) redaktorem „Małego Płomyczka” (wiejskiego). W tym samym czasie Czechowicz był redaktorem „Płomyczka”, a nie, jak podaje autor na str. 168, „Płomyczka” (miejskiego). „Płomyczek” nie miał wersji wiejskiej i wiejskiej, miał ją natomiast „Mały Płomyczek”, którego redaktorem Czechowicz nigdy nie był.

W wyniku mojej akcji przeciw ZNP ja pierwszy straciłem posesję. W czerwcu 1936 r. wystąpiłem w Związku. Nie mogłem więc po Czechowiczu objąć jego posesji. Czechowicz w ZNP nadal pozostał.

Na stanowisko redaktora w Warszawie dostałem się nie jako protegowany przez Czechowicza literat, ale jako działacz związkowy mający pewne zasługi dla Związku: prowadziłem w Lublinie od kilku lat czasopismo, związkowe „Ognisko Nauczycielskie” i byłem członkiem Komisji Woj. ZNP. Nie mogło mi się „bardzo źle powodzić” w Lublinie, jak informuje autor, bo przecież miałem pobory nauczycielskie i redaktorskie, prócz tego żona moja uczyła w seminarium nauczycielskim. Niejeden literat — właśnie w Lublinie — korzystał z mej pomocy materialnej (zainteresowani mogliby coś o tym powiedzieć).

Jeśli już autor chciał wyświecić niektóre szczegóły „tajemniczej atmosfery” wokół Czechowicza, należało to zrobić bardziej wnikliwie, a nie opierać się na niesprawdzonych plotkach i podawać insynuację niegodną pisarza, za którą można pociągnąć autora do odpowiedzialności sądowej.

Antoni Madej

* V. nr 13 „Kamień”.

W związku z projektowanym otwarciem Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie (woj. lubelskie), Dyrekcja Muzeum w Lublinie prosi o zgłaszanie do zakupu, ew. jako dary, wszelkich pamiątek po pisarzu, rękopisów, fotografii oraz książek (możliwie pierwotnych). Zgłoszenia przyjmuje Sekretariat Muzeum w Lublinie, tel. 25-53.

Dyrektor Muzeum
mgr I. Iskrzycka

no-naukowym wyższych uczelni. Na temat odsiewu milczy również Rocznik Statystyczny, chociaż porównując kilka różnych tabel, da się z grubsza ten odsiew wyliczyć. W specjalistycznych wydawnictwach Ministerstwa Szkół Wyższych można znaleźć bardziej dokładne dane, lecz wydawnictwa te są na ogół dla osób z zewnątrz praktycznie niedostępne.

A sprawa wydała mi się na tyle ciekawa i warta omówienia, iż udałem się do lubelskiej Akademii Medycznej prosząc o dane za kilka ostatnich lat i o zgodę na ich opublikowanie. Uzyskałem jedno i drugie, a nadto miarodajne omówienie tego ważnego przecięcia zagadnienia w długiej rozmowie.

Wraz z moim rozmówcą celowo skoncentrowaliśmy się na wydziale lekarskim — właśnie na tym, który nie tylko w samej Akademii Medycznej, ale także w zestawieniu z innymi uczelniami uchodzi za najtrudniejszy. Jeżeli — oczywiście — wyłączymy WSI, gdzie znaczna większość studiujących musi pogodzić naukę z równoczesną pracą zawodową oraz z obowiązkami wobec własnej rodziny. A oto jak wyglądał odsiew studentów naszej AM w okresie ostatnich pięciu lat, poczynając od roku akademickiego 1956/57, a na 1960/61 kończąc:

Rok studiów	1956 1957	1957 1958	1958 1959	1959 1960	1960 1961
I	51	20	40	30	26
II	80	64	23	17	23
III	35	8	5	3	5
IV	4	4	2	3	4
V	—	—	—	—	—

Tu najpierw jedno małe zastrzeżenie. Statystyka nie obejmuje tych studentów, którzy z powodu tzw. wypadków losowych musieli przerwać studia korzystając z urlopowi dziekańskich czy rektorskich. Wypadki takie można dosłownie policzyć na palcach. Zarówno mała ich liczba, jak i specyficzne powody sprawiają, że należy je wyliczyć z naszych rozważań.

Już na pierwszy rzut oka widać, że obrzucenia większość tzw. odsiewu przypada na I i II rok studiów. Dwa się na to składają powody. Istotnie są to stosunkowo najtrudniejsze lata. Wcale nie przypadkowo zarówno ilość zajęć, jak i bardzo obszerny materiał tworzą dość gęstą siatkę, przez którą nie jest tak łatwo przecisnąć się. Pamiętajmy, że wykształcenie jednego studenta kosztuje państwo około 120 tysięcy zł. Przeciętnie biorąc, na jeden rok wypada ok. 25 tys. zł. Lepiej więc, aby ten, kto ma odpadnąć, odpadł możliwie najwcześniej. Ale nie tylko o pieniądzu tu chodzi, nie wulgaryzujemy sprawy. Młody, studiujący człowiek żyje przecież jakimś marzeniem, ma jakiś cel przed sobą nawet wtedy, gdy uczy się źle czy słabo. Chyba także dobrze, gdy dowie się wcześniej, że marzenia są nieziszczalne, a cel trzeba zmienić.

Mój rozmówca, wybitny naukowiec i długoletni wychowawca młodzieży akademickiej, tak oto charakteryzuje zjawisko, o którym rozmawiamy.

— Studentów naszej uczelni podzielić można na trzy wyraźne grupy. Pierwsza to młodzież ucząca się dobrze. Stanowi ona około 30 proc. ogółu. To ci, co w ciągu całego okresu studiów nie mają ani jednej dwójki, przytłaczająca większość ocen to bardzo dobrze i dobrze. W upartym, konsekwentnym dążeniu do celu — dyplomu i dalszej pracy tak zawodowej, jak i naukowej — nie ich nie zatrzyma. Charakteryzuje ich nie tylko zapał, bo zapałem nie wszystko można zrobić, ale jakaś potężna żądza wiedzy. Można by obrazowo powiedzieć tak, że gdy każe się im przeczytać pięć książek, przeczytają sześć. Z tymi mamy, oczywiście, najmniej kłopotów naukowych i dydaktycznych. Wystarczy wskazać kierunek, pomóc, kilku słowami zachęcić do dalszego wysiłku.

Okolo 50 proc. studentów stanowi grupę drugą — średnią. Wielkość tej grupy jest zresztą dość zmienna. Na ogół ciąży ona do pierwszej, ale nie rzadkie są, niestety, wypadki spadania do niższej. Młodzież grupy średniej jest pracowita, stara się osiągnąć najlepsze efekty, lecz w parze z tymi zaletami nie idą zbyt wielkie zdolności. Po dyplomie raczej nie zabłysną na firmamencie nauki, czy praktyki, ale będą solidnymi, dobrymi fachowcami, z pożytkiem spełniając swoje trudne obowiązki.

Trzecia grupa obejmuje 10 — 20 proc. młodzieży. Tych trzeba określić krótko: uczą się źle. To oni pożerają nam najwięcej czasu, im poświęcamy najwięcej wysiłku. Przecież każdemu z nich chcemy uratować przyszłość. Jeżeli nawet pytamy ich ostro, jeżeli stawiamy dodatkowe obowiązki, jeżeli — jak się to mówi — czasem nawet wchodzimy

na odciski, to przecież tylko dla tego, aby ich zmusić do pracy. Inym razem zresztą będą to indywidualne rozmówki, podrażnienie ambicji. Aby osiągnąć cel naukowy, skala środków wychowawczych jest bardzo szeroka i elastyczna, staramy się, aby w każdym wypadku była indywidualna.

Tę trzecią grupę podzielić można na dwie podgrupy. Pierwsza to młodzież zdolna, ale wyraźnie nie chcąca się uczyć. Przechodzi ona to, co nazywamy w uczelni „okresem młodzieńczym”. Jest to bardzo specyficzna choroba, która w gruncie rzeczy nie omija prawie nikogo. Któż z nas otrzymując „świadczenie dojrzałości” nie uważał, że do niego należy teraz cały świat? Że jest naprawdę dorosły, że może robić co tylko chce, od lekceważenia począwszy, a na ekstrawaganckim zachowaniu się czy ubieraniu skończywszy? Rzecz w tym, jak długo ten okres trwa. Na ogół mija już w czasie egzaminów wstępnych, gdy okazuje się, że nawet same piątki ze szkoły średniej nie gwarantują przyjęcia. Jeżeli trwa przez kilka miesięcy studiów — następuje nieuchronna katastrofa. Jeżeli minie po kilku tygodniach, pewny awans do grupy drugiej, a czasem nawet do pierwszej.

Druga podgrupa to ci, którzy nie posiadają zdolności lub uczyć się nie chcą. Na uczelnicy dostali się raczej przypadkowo. Bo przecież egzamin wstępny mimo wszystko jest w jakimś małym procencie loterią. Na totolotku milion może wygrać największy nierób i len. Ale to udaje się tylko raz. Przy następnych egzaminach trzeba odpadnąć. Wyselekcjonowanie tej grupy nie jest oczywiście łatwe, ale konieczne. Dla obu stron i dla całego społeczeństwa.

Z KOLEI wraz z moim rozmówcą dokonujemy jeszcze różnych obliczeń, których zaoszczędzę czytelnikom. Chodź o wynik. Okazuje się, że w okresie ostatnich trzech lat w naszej AM studia kończy w ogóle 70 proc. tych, którzy je zaczęli, a 60 proc. w normalnym czasie 6 lat. Osobiście jestem tym „mille rozararowany”. Wspominam, że np. w Politechnice Warszawskiej przed wojną studia na wydziale mechanicznym trwały formalnie 4 lata, a dopiero w r. 1936 był student, który jako trzeci skończył je w tym czasie. W Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie na I roku było zawsze ok. 120 studentów, a na ostatnim, III roku — zaledwie 10—15. Znani dziś w Lublinie naukowcy, z którymi kiedyś wydeptywałem schody w Collegium Maius w Poznaniu, mogą przyświadczyć, że ówczesny rektor Sajdak byłby zachwycony, gdyby na łatwiejszej przecięć od medycyny humanistycznej miał takie jak nasza AM wyniki.

A więc fakty przeczą krakaniom i wcale nie widzę, aby dzisiejsza młodzież była — jeżeli chodzi o wyniki nauczania — gorsza niż przed wojną. Tylko my, starsi, idealizując swoje wspomnienia zapominamy chętnie o tym wszystkim, co było złe i napiętnowane przez starsze od nas pokolenie.

Myślę, że jednym z powodów ułatwiających dzisiaj studia są tzw. skoordynowane harmonogramy kolokwium i egzaminów, wprowadzone przez naszą AM przed dwoma laty. Z przytoczonej wyżej tabeli widać, że od tego czasu właśnie coroczny odsiew poważnie się zmniejsza. Jak dotąd, operowaliśmy harmonogramami na placach budowy, bądź przy układaniu programu różnych zjazdów. A tu harmonogram z załączeń odbytych ćwiczeń, lub egzaminów? I to skoordynowany? Rzecz w tym, że dawniej — przed wojną i wiele lat po wojnie — każdy profesor, a wraz z nim każdy asystent, wyznaczał termin kolokwium czy egzaminu patrząc tylko na własne podwórko. Kończyło się tym, że student najpierw długi czas nie miał nic do składania, potem zaś w jednym tygodniu, nieraz i w jednym dniu, zbiegało się kilka kolokwium i egzaminów. Oczywiście na ostatnim delikwent był już tak „skolowany”, że z reguły obiewał. Harmonogram skoordynowany bierze studenta w obronę i zapewnia mu równomierne rozłożenie zarówno kolokwium, jak i egzaminów, dając z reguły czas na przygotowanie się, eliminując w poważnym stopniu wpływ czynników przypadkowych, niezależnych od prawdziwego zakresu wiedzy zdającego.

NASZA rozmowa, obejmująca zresztą wiele innych zagadnień — o których chyba przy innej okazji — zbliża się do końca. Ale mój rozmówca pragnie jeszcze podkreślić, że co roku widać wyraźną różnicę w przygotowaniu do studiów młodzieży z dużych miast i mniejszych ośrodków. Na ogół szkoła średnia w miastach powiatowych słabiej przygotowuje młodzież do studiów wyższych. Wiele na to wpływa czynników. Przede wszystkim

Teatr wierny słusznym założeniom

(Dokończenie ze str. 4)

pośrednika w brudnych transakcjach finansowych. Trochę później, około r. 1870, kiedy gorączka giełdowa opanowała burżuazję galicyjską (co znalazło głośne odbicie w alarmach prasowych), znany nasz dramaturg Józef Narzyski, czerpiący pełnymi garściami z twórczości Augiera, pisze ogromnie podobną do „Zarazy” i innych sztuk francuskiego pisarza — „Epidemię”. I tu powtarza się motyw katastrof finansowych, bankructwa, utraty majątku zdobytego na giełdzie. A więc, rzecz dawno znana: ta sama epoka, ten sam klimat socjalny — rodzi podobieństwa tematyczne. W każdym bądź razie w owej tematyce Balzac był prekursorom.

Skoro już jesteśmy przy analogiach, trudno mi powstrzymać się od zwrócenia uwagi na pewne dość zaskakujące podobieństwo. Otóż zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że między światami Balzaka a Gorkiego zachodzi bieżąca podobieństwo. A proszę sobie przypomnieć, iż aferzysta Mercadet wywołuje w nas raczej litość niż odrazę. Nie da się tego złożyć całkowicie na karb osobistego wdzięku Vilara. Z podobnym zjawiskiem spotykamy się w dziełach Maksyma Gorkiego. Wielki pisarz rosyjski też nie potępia człowieka, tylko wykazuje niszczący wpływ, jaki wywiera na jego morale pieniądź.

Tyle w związku z tematyką „Aferzysty”. Co do faktury tej przejrzystej zbudowanej sztuki, to na czoło jej zalet wysuwa się bez wątpienia dowcipny dialog. Wyszedł on spod pióra mistrza, którego urzekający humor nadawał blasku i barwy nawet najpowszedniejszym treściom listów do rodziny.

*

Cóż o widzianych przez nas realizacjach scenicznych Théâtre National Populaire? Prawdę powiedziawszy, inscenizacja „Turcareta” pomysłu Vilara wydaje mi się nieco przereklamowana we fragmentach przytoczonych w programie PAGART-u. Muzyka Duke Ellingtona, interesująca sama w sobie, nie przenika utworu starego Lesage'a, porbrzmiewając jakby obok niego i właściwie ta „nowa fala” nie wynosi na siebie nic nowego z utworu. Natomiast zachodzi wyraźna rozbieżność między nowoczesną muzyką a scenografią Gustave Singier i grą aktorską, utrzymaną w dawnych tradycjach (zresztą niewątpliwie dobrych). Z tym wszystkim przyjemność sprawiała doskonale mówienie dialogu, w jakim celują aktorzy francuscy. Zes-

pół występujący w „Turcarecie” składa się z artystów utalentowanych i biegłych w swym rzemiośle.

Chętnie bym zobaczyła jeszcze po raz drugi i trzeci „Aferzystę”. Dla formalnej gry samego Vilara, tworzącego wręcz arcydziełną postać spekulanta pechowca. Wydaje mi się, że w „Aferzystę” wszyscy inni wykonawcy wykazali prawie w jednakowej mierze dużo talentu, w czym pomógł im bardzo autor, a odrobnie przeszkadzał inscenizator (Vilar) usiłując zmodernizować komedię chwytami Guignola, które „odrealniły”, spłazczyły postacie wierzących, sprowadziły je do wspólnego mianownika. Postacie Balzakowskie są zbyt brylowate, by można było dokonywać na nich takiego zabiegu bez uszczerbku dla sztuki. Wprowadzenie „marionetek” jakoś rozbraja widza w stosunku do szkodników, a już na pewno narusza jednolitość spektaklu, inne bowiem postacie i scenografia Leona Gischia są utrzymane w konwencji realistycznej. Natomiast osobiście nie mam zastrzeżeń co do ustawienia happy endu. Tak jak został napisany, jest on usłupstwem na rzecz sentymentalnego widza. My dziś nie grzeszymy czułością, tedy potraktowanie szczęśliwego zakończenia jako wietrznej bzdury można uważać za bardzo trafny pomysł Vilara-reżysera. Przypominało to hece Mołerowskie w rodzaju pseudoegzotycznej ceremonii w „Mieszczaninie szlachcicem” i było pyszną zabawą.

Delektowałam się też dowcipną ilustracją muzyczną Maurice Jarre, która nie kłóciła się z humorem i sarkazmem Balzaka.

*

KOŃCZĘ tym, co miał na względzie początek niniejszego wyznaczenia: Narodowy Teatr Popularny Vilara należy traktować jako wzór rzetelnej, wytrwałej pracy artystycznej mającej na celu szerzenie kultury teatralnej wśród mas. Uczy on zasady solidnego planowania repertuaru objazdowego, którego nie powinno się układać ze sztuk wybranych pod kątem snobistycznych zainteresowań wielkich centrów kulturalnych, sztuk przystosowywanych na przódce do warunków „terenowych”. Cześć i chwała Vilarowi za to, że utrzymuje niezachwianie swój repertuar na postępowej linii ideowej i że potrafił zabezpieczyć artyzmu przedstawieniem przeznaczonym dla szerokich warstw swego narodu.

Maria Bechcyc-Rudnicka



Kafeł lubelski — w. XV.

Już 8 tomów

(Dokończenie ze str. 2)

logii i filozofii marksistowskiej? Czyżby wśród 8 tomów nie było miejsca dla tych ciekawych problemów? Trudno, żeby historycy pisali o wszystkim. Przecież działalność KPP nie polegała tylko na organizowaniu strajków i walce z sanacją. Kapepocy działali pod wpływem ideologii marksistowsko-leninowskiej, tę ideologię wcielali w życie. Tym właśnie zagadnieniem powinni się zająć filozofowie.

Będąc jednym ze stałych czytelników Biblioteki społeczno-politycznej radnym urzęd np. w tomie XI wkładkę z planem tematycznym na przyszłość, w którym miałyby miejsce również i te problemy, dotąd zapomniane.

Jerzy Dostatni

Zb. J. Hirsz

KSIĄZKA Moniki Warneńskiej pod powyższym tytułem *) jest jeszcze jednym dowodem zawsze w naszym kraju aktualnego emocjonalnego stosunku do klasyków literatury. Emocjonalny stosunek — to formuła, która w odniesieniu do wymienionego zjawiska wygląda zbyt sztywno — mówić by tu raczej należało o pietyzmie, o umiłowaniu. Umilowanie to, poprzez dzieła, sięga ku osobom ich autorów, a dalej ku rzeczom z autorami związanym. Wyraża się ono różnie. Czasami nadaniem imienia twórcy szkole czy ulicy, kiedy indziej wystawieniem pomnika lub tablicy pamiątkowej, ufundowaniem muzeum, zabezpieczeniem pamiątek, a najczęściej (jak w omawianym wypadku) pracą pisarską.

Głównie lata przyniosły szczególnie wiele pozycji poświęconych największym i wielkim pisarzom polskim. Były to książki najprzeróżniejsze, od uczonych monografi i zbiorów studiów, przez kalendaria, bibliografie i antologie, aż do powieści biograficznych i esejów. Książkę Moniki Warneńskiej wypełniają właśnie eseje; dziełko esejów poświęconych w kolejności spisu treści: Prusowi, Sienkiewiczowi, Orzeszkowej, Konopnickiej, Zeromskiemu, Orkanowi, Kasprzycowi, Wyspiańskiemu i Reymontowi. Adresat książki? Oczywiście uczonego badacza nie wliczaj jej w warsztat swojej pracy, ale za to z przyjemnością i pożytkiem przeczyta ją każdy miłośnik literatury niezależnie od poziomu wykształcenia i wieku.

Warneńska stara się (wg. słów wstępu): „...odpowiedzieć na pytanie, jacy byli nasi pisarze, poznawani nie tylko poprzez ich dzieła, lecz przede wszystkim za pośrednictwem ich zyciorysów, upodobań, a zwłaszcza sposobów pracy twórczej”. Do tego zamierzenia podeszła Autorka sumiennie; oparła się na znacznej ilości monografi i, rozpraw i przyczynków, a także na wspomnieniach i listach pisarzy oraz osób z nimi związanych; wreszcie, last not least, zadawała sobie trud wędrowek po kraju, i za granicą, zwiędając miejsca najbardziej zespólone z życiem wymienionych twórców.

„Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen” — stosując w praktyce powyższe słowa autorka „Fausta” musiała Warneńska połączyć trud pisarza i badacza z pracą reportażysty, co w wyniku dało szkice będące czynnikiem pośrednim między esejami a reportażami. Zestawienie dwu metod pracy dało książkę interesującą, żywą i barwną. Każdy z tych esejów-reportażów jest między innymi ciekawą konfrontacją rzeczywistości z legendą i teraźniejszością z przeszłością.

Książka Warneńskiej pozwala stwierdzić, do jakiego stopnia pisarze żyją w pamięci

swoich rodaków. Wprowadza w atmosferę miejsc, gdzie są nierzadko jeszcze stosunkowo świeże ślady twórców. Notuje rozmowy z żyjącymi jeszcze ich współczesnymi, znajomymi, przyjaciółmi, a nawet szlankami rodzin.

Wszystkie szkice mają budowę ramową, nieco schematyczną. Zaczynają się i kończą elementami reportażu. Środek wypełnia sui generis esej biograficzny, zawierający w przeważnej części opis zwyczajów i przyzwyczajenia pisarza, jego trybu życia i pracy, co zresztą sprowadza się do jednego, jako że praca nazywa wypadka całe życie każdego z tych dzieł.

Książka jest bogato ilustrowana, opatrzone dokładną bibliografią, brak tylko, przynajmniej w moim odczuciu, jednej rzeczy: bardzo lubię książki, które na końcu mają indeks osób.

Dla bliższego ukazania książki Warneńskiej zajmę się przykładowo jednym esejem: o Wyspiańskim, bynajmniej zresztą nie najlepszym. Rzecz jest wyraźnie dwuczęściowa. Część pierwsza, rozmiarami przeważająca — to wędrowka po Krakowie z ulicy na ulicę, z domu do domu śladami pisarza. Wędrowka, oczywiście imaginacyjna, rozrasta się pod piórem Warneńskiej w szkice obraz trudnego życia Poety. Obraz wzbogacony wspomnieniami współczesnych, a nawet wypowiedziami samego Wyspiańskiego zaczerpniętymi z jego korespondencji. Wypowiedziami tak smutnymi, jak smutne było to tragicznie przecięte życie. Oto kilka wyjątków z wyjątków tych zwierzeń: „Mieszkaństwo krakowskie — to jest taka głupia rzecz, że wstyd mówić...”, „Kraków mi za mały...”, „Strasznie mi smutno i nie nie rozumiem wesołości”.

Autorka zestawiając własne myśli i wrażenia z cytowanymi dającymi interesującą i sugestywną, zblizającą sylwetkę Poety, pozwalającą Go lepiej poznać, zrozumieć, a co smutniejsze — wspolczuć Mu.

Druga część to wrażenia z Bronowic uzupełnione refleksjami na temat „Wesela”. W krótkim reportażu uderza to, co jest właściwie cechą całej książki, ów, jak wspominałem na wstępie, emocjonalny stosunek.

Na koniec jeszcze jeden cytat: „Taka jest właśnie „chata rozpięwana”... Tu można go sobie najlepiej wyobrazić takiego, jakim był wtedy, gdy milkliwy, malomówny, zagubiony w gwarnej tłumie weselnych gości, stał przez całą noc wsparty o futrynę drzwi, patrząc na gwarne weselisko, odgadując „co się w duszy komu gra, co kto w swoich widzi snach” — widząc swoją sztukę. Oglądam się raz jeszcze w nierozsądnej nadziei, że ujrzę go takiego, jakim był wtedy, gdy przekulał myśli, obrazy, wrażenia na krzesce najszerszej poezji”.

*) Ludowa Spółdz. Wydawn. Warszawa 1961.

ZMARŁ REMIGIUSZ KWIATKOWSKI (ur. w r. 1884), jeden z najstarszych poetów polskich, autor „Liryk” i licznych trawestacji z poezji chińskiej, japońskiej i koreańskiej.

ODSZĘDŁ NESTOR LITERATURY BUMUNSKIEJ — Michał Sadoveanu (ur. w r. 1880), powieściopisarz i nowelista, przewodniczący rumuńskiego Związku Literatów. W PAŹDZIERNIKU UPLYNĘŁO 50 LAT od urodzenia jednego z największych współczesnych poetów czechosłowackich Franciszka Halasa, zmarłego w r. 1949. Rocznice te przypominają w n-rze 40 „Literarni Noviny” artykułem Józefa Rybaka i wspomnieniami Iva Fleischmanna.

PABLO PICASSO, twórca „Chłopca z fajką”, „Śpiących chłopów”, „Nad morzem”, „Kobiety z dzieckiem”, „Guerniki”, „Kobiet z Algieru” i tyłu innych obrazów, wywołujących na przemian to zachwyt, to sprzeciw, obchodził w tym miesiącu 80-lecie swych urodzin.

OSTATNIE NUMERY PRASY LITERACKIEJ w Warszawie i Krakowie przedstawiają się bardzo interesująco: w „Przeglądzie Kulturalnym” rozpoczęto druk ostatniej powieści Marii Dąbrowskiej „Przygody człowieka myślącego”, w „Zyciu Literackim” — „Dzienników” Karola Irzykowskiego (szkoda, że tylko fragmentów, na razie z r. 1891), w setnym n-rze „Współczesności” też urywek tej samej powieści Dąbrowskiej.

UCZCIĆ SIĘ MŁODZI! Maria Dąbrowska poprzedziła swą powieść krótkim wstępem, w którym nawołuje do „pompatycznej zapowiedzi” w n-rze 41 „Przeglądu Kulturalnego”, w której redakcja tego tygodnika nazwała ją „największą polską pisarką”. „Nie ma żadnych największych” — replikuje autorka „Dni i nocy” — „są po prostu pisarze lepsi lub gorsi, świetni dla jednych, mniej wartościowi dla innych...” „Pisarzy równie dobrych jak ja albo lepszych jest w Polsce co najmniej kilkunastu (oj! oj! — przyp. mój). Od siebie dodamy tylko: właśnie skromność jest cechą prawdziwej wielkości”.

Z PRAWDZIWA PRZYJEMNOŚCIĄ I CALKOWITĄ APROBATĄ przeczytałam w „Zyciu Literackim” gwałtowną diatribę Mieczysława Jastruna przeciwko skurczyłowianom w „Instrukcji programowej” lektur w szkołach ogólnokształcących o „Odpowiedziach greckich (to zlikwidowane najlepsze połowy Kochanowskiego)”, „Dziady” wileńskie” („Dołanów” cz. III będzie bez nich niezrozumiałą” — oczywiście), „Konrada Wallenroda” („sprawa wolności i zdrady”), „Lilii Wenede”, „Goźdnie myśli” (tak: ten wspaniały poemat młodzieńcy o podłożu autobiograficznym), „Iliadę” i „Odyseję”. Jastrun słusznie pisze: „Uczniowie powinni wynosić ze szkoły jakąś minimalną znajomość charakteru literatury ojczystej, tak jak to się dzieje

we wszystkich krajach i kulturach...” „Twórcy „Instrukcji programowej” kierowali się własnymi upodobaniami oraz własną orientacją w zakresie wartościowania estetycznego i pedagogicznego...” „O programie nauczania literatury i języka nie powinny w żadnym wypadku decydować kapryśne upodobania lub uprzedzenia”.

„WSPÓŁCZESNOŚĆ” — pismo młodych, które w swym pięcioletnim rozwoju ulegało różnym przemianom, w ostatnich dwu latach ustabilizowało się osiągając wcale wysoki poziom. Żywo redagowane przez Witolda Dąbrowskiego przynosi, zależnie od numeru, mniej lub więcej interesujący materiał. Setny nr jubileuszowy przedstawia się bogato: otwiera go Maria Dąbrowska fragmentem nowej powieści (efekt byłby mocniejszy, gdyby nie „Przegląd Kulturalny”), na dalszą treść składają się liczne wiersze, opowiadania, artykuły, eseje, reportaże i in. Wyróżnia się esej R. Zimanda „O kontaktowaniu się z poezją”, artykuły A. Bukowskiej („Wizerunki młodej prozy”) i J. Maciejewskiego („Pokolenie, które nadchodzi” — z dyskusji o poezji — oba niezbyt wesoło charakteryzują młodą prozę i poezję i zbliżone w trzystycytnych, ale zawsze godnych przypomnienia sformułowaniach: „Słowa mają wartość tylko wówczas, kiedy ma się rzeczywiste coś ludzkiego do powiedzenia” (Bukowska) i „Trzeba przypomnieć także starą prawdę, że eksperyment formalny zawsze musi być funkcjonalny, że „jak” zawsze musi wyrażać wartościowo „co” (Maciejewski), interesujący reportaż R. Daneckiego „Azjatyckie szkice z natury” (wrażenia z podróży do Taszkentu, Samarkandy, Buchar i Aszhabadu), wspomnienie Mieczysława R. Frenka „Przyjaźniłem się ze Stefanem Zweigiem”. Z wierszy (galeria nazwisk znanych nam ze „Współczesności”, ale i goście: krakowianie — T. Siliwaki i T. Nowak, Ślązacy — A. Niedworok i S. Horak, a nawet z zagranicy — H. Jaszczek z Zaolzia i Peter Lachmann, Niemiec piszący po polsku, z Kolonii), zaciekawily mnie zwłaszcza „To Szekspir winien” E. Brylla, „Powrót prokuratora” Z. Herberta, i „Postańcy” S. Grochowiaka. W tym ostatnim — nie wiadomo czemu — klasyczny jedenaścioślęgiowiec, przepłany oksytonicznym dziesięcioślęgiowcem, został posiekany na drobne części.

Redakcji „Współczesności” z okazji wydania setnego numeru przesyłamy serdeczne gratulacje wraz z życzeniami dalszej owocnej pracy.

-kaj-

Z tradycji muzycznych Lublina

Organizowane rok rocznie Dni Lublińskie dają okazję do przeglądu przede wszystkim naszych ostatnich osiągnięć w dziedzinie kultury. Stanowią jednak również okazję przypomnienia tradycji kulturalnych. Mam na myśli tradycje muzyczne. Tradycje takie istnieją i czekają na swego dziejopisę.

Jak dotychczas doczekano się dwóch kompozytorów medalionów na kamieniu Nr 17 Rynku Starego Miasta oraz szeregu publikacji monograficznych i muzykologicznych. Są to: Henryk Wieniawski i niemal legendarny Jan z Lublina, a właściciel w Kraśniku.

Jan z Lublina, żyjący w XVI wieku i spisujący utwory owych czasów w tzw. „tabulaturach”, nie przypuszczał zapewne, że przyczyni się decydująco do zmiany poglądów na historię rozwoju muzyki polskiej czasów zygmuntońskich. Świat dowiedział się o tabulaturach dopiero przed 30 kilkoma laty dzięki Hieronimowi Łopacińskiemu, który zabytek ten przekazał Akademii Krakowskiej.

W wieku XVII i XVIII życie kulturalne ogniskowało się, jak wiadomo, głównie na dworach możnych książąt. Na dworze Czarotwórców w Puławach przebywał Franciszek Książka, a muzykę do

Jego „Matki Spartanki” skomponował Wincenty Lessel nadworny kapelmistrz Czarotwórców. Jednakże nie Wincenty, lecz syn jego Franciszek ur. w roku 1780, miał się stać sławnym kompozytorem. Po nauce u Józefa Haydna w Wiedniu, objął w Puławach zarząd dóbr ks. Marii Wirtemberskiej, zajmując się również kompozycją. Obok Eisnera i Kurpińskiego spełnił jak mógł swą misję kompozytorską przed Chopinem. Jego koncert fortepianowy C-dur oraz szereg innych utworów przypomni nam Zbigniew Drzewiecki, a my przypomnimy, że uczennicą jego była sławna pianistka Maria Szymanowska, teściowa Adama Mickiewicza.

W moich latach szkolnych ojciec zaprowadził mnie do zakrystii Katedry Lubelskiej na I piętro, aby pokazać mi portret Stanisława Serwaczynskiego, sławnego skrzypka, urodzonego w Lublinie w 1791 r. Portret spłonął od bomby wraz z zakrystią w 1939 r., ale nazwisko wirtuozu stanowi chlubną kartę w dziejach wiołinstyki polskiej. W czasach lubelskich kierował przez pewien czas nauką gry na skrzypkach kilkuletniego Henryka Wieniawskiego. Znano go w Wiedniu, we Włoszech, a zwłaszcza na Węgrzech. Pełniąc funkcję koncertmistrza opery budapeszteńskiej, był równocześnie pierwszym nauczycielem jednego z największych późniejszych koryfeuszów gry skrzypcowej, Józefa Joachima. Na starość wrócił do Lublina, zmarł podobno w Lwowie w 1859 r.

Z Lublina pochodził Antoni Paris, również nauczyciel Henryka Wieniawskiego. Koncertował nie tylko w Polsce, lecz i w Kijowie (w latach 1848 i 1854) oraz na Kaukazie. W Odessie występował nawet wspólnie z Franciszkiem Lisztem.

Nieporównanie wyższy stopień artystyczny, aniżeli jego poprzednicy, zarówno w zakresie wirtuozostwa, jak kompozycji, osiągnął Karol Lipiński, urodzony na Lubelszczyźnie w Radzynie Podlaskim, w 1790 r. U Poteckich ojciec go wdrażał do gry na wiołonce, później uczył go gry skrzypcowej.

Występy Lipińskiego wspólnie z Nicolo Paganinim w Warszawie w 1829 r. zyskały mu miano jedynego rywala Paganiniego. Jako dwouletni koncertmistrz opery wiedeńskiej gra pod dyrykcją Ryszarda Wagnera a Robert Schumann dedykuje mu swój sławny cykl fortepianowy „Karnawał”. W późniejszych latach zbiera pieśni ludowe ludu galicyjskiego. Umiera w Urtowie pod Lwowem w roku 1861.

Pamięć Lipińskiego uczciła Filharmonia Lubelska w 1953 r. specjalnym koncertem w miejscu jego urodzenia, w Radzynie Podlaskim. W grudniu br. przypada setna rocznica śmierci znakomitego skrzypka.

Jan Szorc

KONKURS na tom opowiadań, powieść lub sztukę teatralną

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich i Szczeciński Oddział Związku Literatów Polskich ogłaszają konkurs na tom opowiadań, powieść lub sztukę teatralną o Pomorzu Zachodnim.

Na konkurs można nadsyłać tylko prace nigdzie dotąd nie drukowane.

Konkurs jest otwarty, brać w nim mogą udział także nie członkowie ZLP.

Tom opowiadań lub powieści winny mieć co najmniej 6 arkuszy wydawniczych (120 stron maszynopisu z interlinią).

Maszynopisy w 3 egzemplarzach należy kierować do dnia 1 września 1962 roku pod adres: Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Szczecin, ul. Rycka 3.

Do prac opatrzonej godłem należy dołączyć zaklejoną kopertę z tym samym godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Skład Sądu Konkursowego ogłoszony zostanie w terminie późniejszym. Ustala się następujące nagrody:

I — 30.000 zł

II — 20.000 zł

III — 10.000 zł

oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł każde. Jury zastrzega sobie prawo odmiennego podziału nagród.

Organizatorzy proponują Wydawnictwu Poznańskiemu wydanie prac nagrodzonych i wyróżnionych.

KONKURS literacko-muzyczny

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie, Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich i Szczeciński Oddział Związku Literatów Polskich ogłaszają konkurs literacko-muzyczny, związany tematycznie z morzem i z Pomorzem Zachodnim.

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Październikowy nr 2 „Kamena” z r. 1936 zawierał esej Tadeusza Bocheńskiego „Małe pomniki człowieczeństwa”, wiersze Józefa Łobodowskiego, Mieczysława Jastruna, Olgi Daukszy, Mieczysława Lurczyńskiego, Henryka Czerkiesa, Mieczysława Lisiewiczza, Tadeusza Bocheńskiego, Jerzego Kamila Weintrauba, artykuł Lwa Gomolickiego „Poezja w diasporze”, prozę Jurja Iwaska i wiersze Mariny Cwietajewej, Lwa Gomolickiego, Dowida Knuta, Antonina Ładinskiego, Borisa Popławskiego w przekładzie K. A. Jaworskiego, poezje Fr. Hebbia (tłum. Paweł Hertz), R. M. Rilkego (tłum. T. Bocheński), Klabunda (tłum. Zenon Waśniewski) i Georga Trakla (tłum. J. K. Weintraub), kronikę słowiańską i noty. Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego: Motyw wenecki.

Odpowiedzi Redakcji

H. P. w Lublinie. Tryptyk zatrzymujemy, ale na ewentualny druk wypadnie poczekać: długi utwór stanowiący całość, którego nie można drukować we fragmentach, a brak miejsca.

Konkurs obejmuje: utwory poetyckie, teksty piosenek i melodie do tekstów, opowiadania, wspomnienia, artykuły, reportaże, felietony, humoreski, monologi, skecze, audycje radiowe — tematycznie związane z morzem i z Pomorzem Zachodnim.

Na konkurs można nadsyłać utwory nigdzie nie drukowane (literatura) lub opubliczowane w okresie od 1 maja 1961 r. do 1 maja 1962 roku (publicystyka).

Konkurs jest otwarty, brać w nim mogą udział także nie członkowie ZLP.

Prace w 3 egzemplarzach należy kierować do dnia 1 maja 1962 r. pod adresem: Szczeciński Oddział Związku Literatów Polskich, Szczecin, Plac Zolnierza Polskiego 2.

Do prac opatrzonej godłem należy dołączyć zaklejoną kopertę z tym samym godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

Skład Sądu Konkursowego ogłoszony zostanie w terminie późniejszym. Ustala się następujące nagrody:

Utwór poetycki	I nagroda — 3.000 zł
	II nagroda — 2.000 zł
Humoreska, monolog, skecz	I nagroda — 1.500 zł
	II nagroda — 1.000 zł
Audycja radiowa, artykuł, reportaż, felieton	I nagroda — 2.000 zł
	II nagroda — 1.500 zł
	III nagroda — 1.000 zł
Tekst piosenki	I nagroda — 1.500 zł
	II nagroda — 1.000 zł
Melodie do tekstu	I nagroda — 2.500 zł
	II nagroda — 1.500 zł
Wspomnienia	I nagroda — 2.000 zł
	II nagroda — 1.500 zł

Oprócz nagród — przyznane będzie w każdej z wymienionych grup wyróżnienie po 500 zł.

Każdy autor ma prawo nadesłać dowolną ilość prac.